12 stron

Cena 8 zł.

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok III | Kraków, dnia 7 kwietnia 1946 r. | Nr 14 (71)

ALEKSANDER PUSZKIN

przełożył JULIAN TUWIM

EUGENIUSZ ONIEGIN

ROZDZIAŁ PIERWSZY

I

Mój zacny wujek, biedaczysko,
Gdy niemoc go zwaliła z nóg,
Szacunku żądał — oto wszystko,
I cóż lepszego zrobić mógł?
Niech innym to za wzór posłuży...
Lecz, Boże, jakże czas się dłuży,
Gdy z chorym spędzasz noc i dzień,
Nie odstępując go jak cień!
Ileż w tym czułym pielęgniarstwie
Nikczemnej hipokryzji tkwi!
Czy pacjent zjadł? czy pacjent śpi?
A nie zapomnij o lekarstwie...
Gdy smutnie wzdychasz cały czas,
A marzysz, by go piorun trzasł.

II

Tak sobie myślał płochy młodzik,
Pocztowym koczem pędząc w cwał,
Swych wujków, stryjków, cioć-dobrodzik
Jedyny dziedzic. Zeus tak chciał.
Bracia w Rusłanie i Ludmile!
Bez długich wstępów, już za chwilę,
Tę postać sprezentuję wam,
Państwo pozwolą — to on sam:
Oniegin, miły czytelniku,
Nad Newą rósł od pierwszych lat,
Gdzie może sam ujrzałeś świat
Lub w świecie zadawałeś szyku.
Bywałem tam za dawnych dni,
Lecz klimat nie posłużył mi.

III

Panicza ojciec wsie zastawiał,
Uczciwie służąc, w długach tkwił,
Trzy huczne bale co rok sprawiał,
Aż spłukał się — i gotów był.
Sam los Eugeniusza chronił:
Madame go pilnowała; po niej
Monsieur o edukację dbał;
Chłopaczek wdzięk i werwę miał.
Monsieur l'Abbé, francuzik biedny,
By uczeń nie przemęczył się,
Żartami zbywał lekcje swe,
Nie prawił kazań niepotrzebnych,
Za zbytki czasem prztyczka dał
I na spacery chłopca brał.

IV

A gdy młodzieńcze dni namiętne
Przyniosły z sobą burzę krwi,
Nadzieje i zadumy smętne —
L'Abbému pokazano drzwi.
Dorwał się młody do swobody:
Fryzura — krzyk ostatniej mody,
Dandysa londyńskiego strój —
Tak w życie wszedł Oniegin mój:
Jak Francuz po francusku gada,
Paryski styl i akcent ma,
Mazura tańczy że aż ha!
Ukłony z nonszalancją składa.
To wszystko. Więc uznano go
Za mędrca oraz comme il faut.

V

Nas wszystkich, jakoś i na ogół,
Uczono gdzieś tam czegoś tam,
Więc edukacją, chwała Bogu,
Nie sztuka w świecie błysnąć nam.
Niejeden srogi autorytet
Uważał go za erudytę,
Choć czasem go pedantem zwał;
Oniegin dar szczęśliwy miał:
Potrafił lekko i swobodnie
Na każdy temat słówko rzec,
A każdą poważniejszą rzecz
Przemilczeć, z miną znawcy, godnie,
Lub ogniem błyskotliwych zdań
Wywołać uśmiech pięknych pań.

VI

Znikł dawny do łaciny zapał,
Niemodna stała się. Lecz kęs
Oniegin kiedyś z niej załapał:
By w epigrafu wniknąć sens,
Porównać Plauta z Juwenalem,
Zakończyć list klasycznym „vale",
I jako tako, raczej źle,
Znał z Eneidy linie dwie.
W chronologicznym dziejów pyle
Nie lubił grzebać się — i wić
Historii ludów barwną nić,
Lecz anegdoty, krotochwile,
Od Romulusa po nasz wiek,
Pamiętał i jak skarbu strzegł.

VII

Nie z tych, co czcią dla słów goreją,
Nad życie ceniąc dźwięków ład,
Nie umiał jambów od chorejów
Odróżnić, mimo dobrych rad.
Ganił Homera, Teokryta,
Adama Smitha za to czytał
I zgłębił ekonomii treść,
To znaczy: umiał dyskurs wieść
O tym, jak państwo się bogaci
I z czego żyje, tudzież jak
Rozkwita, choć mu złota brak,
Gdy własnym swym surowcem płaci.
Poczciwy ojciec dziwił się,
Nie wierzył — i zastawiał wsie.

VIII

Moc jeszcze wiedzy miał Eugeniusz,
Lecz — pominąwszy dalszy ciąg —
W czym błysnął jako istny geniusz,
Co lepiej znał niż stosy ksiąg,
Czym rozkoszował się i dręczył,
Czym trudnił się od lat młodzieńczych,
Czym dyszał cały boży dzień
Nasz płochy i znudzony leń —
To słodka sztuka miłowania,
Ta, co ją Nazo śpiewał już,
Za którą życie, pełne burz,
Utracił, znosząc ból wygnania
W Mołdawii, w głuszy stepów, kniej,
Daleko od Italii swej.

X

Jak wcześnie zaczął okłamywać,
Obłudną maską zamiar kryć,
Czarować i rozczarowywać,
Rozpaczać — i nadzieją żyć;
Udawać dumę, obojętność,
Pokorę, zazdrość, czy namiętność!
Jak płonął w ogniu tyrad swych!
Jak się rozmarzał, kiedy cichł,
Jak przykry bywał — w czułym liście...
Do celu dążąc z wszystkich sił,
Jak umiał innym być niż był!
To spojrzeć czelnie, to znów mgliście,
To rzewnie, to z nawistą brwią
Na zawołanie błysnąć łzą.

XI

Jak umiał sobą zaciekawić,
Rozpaczą straszyć raz po raz,
Niewinną, żartem, w podziw wprawić,
Pochlebstwem uprzyjemnić czas:
Skorzystać mądrze z chwilki czułej,
By przemóc młodych lat skrupuły
Perswazją i płomieniem żądz;
Na przyrzeczenie czekać, drżąc;
O szczęście błagać desperacko,
Podsłuchać z pierwszych serca nut,
Co w sercu drga — i długi trud
Ukoronować tajną schadzką,
W zacisze skryć się z nią — i tam
Udzielać lekcji sam na sam.

XII

Jak wcześnie trwożył i rozpalał
Kokietek zawołanych krew!
A kiedy zniszczyć chciał rywala,
O, jaki nim owładał gniew!
Jak jadowicie go obmawiał,
Jaką podstępną sieć zastawiał!
Lecz wy, mężowie pięknych pań,
Mieliście zawsze słabość dlań:
I chytry mąż (Faublasa zobacz,
Bo uczniem jego zwał się wciąż),
I podejrzliwy stary mąż
I mąż majestatyczny rogacz,
Pan, zawsze kontent z żony swej,
Ze siebie i z obiadów jej.

XV

Bywało, jeszcze jest w szlafroku,
A już mu bileciki ślą.
Co? Zaproszenia? Bez uroku:
Na dziś — w trzech domach mieć go chcą.
Tu bal, tam raut, a tam wieczorek,
I gdzie pofrunie mój amorek?
Od czego zbytnik zacznie dziś?
Drobnostka, wszędzie zdąży iść.
Tymczasem — w modnym Boliwarze
I w spacerowym stroju c h i c
Zażywa, jak codziennie zwykł,
Przejażdżki miłej po bulwarze,
Aż dźwięczny ozwie się Breguet
I sygnał da, że obiad wnet.

XVI

Już ciemno. W futro otulony,
Do sanek siada. Jazda! Mknij!
Srebrzystym szronem opylony,
Bobrowy jego kołnierz lśni.
T a l o n zamroził już szampana,
Kawerin czeka na kompana.
Już jest — i korek w sufit trzasł,
Wina „komety" trysnął blask,
I już na stole roast-beef krwawy,
I trufle, rozkosz młodych lat,
Francuskiej kuchni świetny kwiat,
Sztrasburski pasztet wiecznej sławy,
Limburski ser, by dobić głód,
I ananasa złoty płód.

XVII

Jeszcze spragnione gardło błaga,
By wrzący tłuszcz kotletów zmyć,
Lecz czas na balet iść. Uwaga!
Breguet godzinę zaczął bić.
Teatru srogi prawodawca,
Uroczych div kapryśny znawca,
Faworyt artystycznych sfer
(Drobniejszych tuzów, większych zer),
Oniegin pędzi do teatru,
Gdzie każdy wolne prawo ma
Aplauzem darzyć e n t r e c h a t,
Wygwizdać Fedrę z Kleopatrą,
Moinej krzyczeć: bis! — Bo co?
Bo chce, by usłyszano go.

XVIII

Kraina czarów! Tam za młodu
Satyrą możnych tnąc i gmin,
Fonwizin zabłysł, rzecznik swobód,
I, w barwach cudzych piór, Kniaźnin.
Tam — ludzkich łez i braw nagrodą
Ozerow z Semionową młodą
Dzielili się. Katienin tam
Wykrzesał z kornelowych dram
Poezji płomień patetyczny.
Tam Szachowskoj w komediach kłuł
Ironią, jak żądłami pszczół,
Didelot tam wsławił się klasyczny,
Tam, tam, za kulisami złud
Jam moje lata młode wiódł.

XIX

Boginie moje! Marzę, płonę!
Kto wy dziś? Gdzie wy? Któżby mógł
Zastąpić was, niezastąpione!
Czy, najwierniejszy z waszych sług,
Usłyszę znowu wasze chóry?
Czy ujrzę ruskiej Terpsychory
Uczuciem uskrzydlony tan?
Czy, osowiały, tyle zmian
Na nudnej scenie już zastanę,
Że wzrok zasnuje smutku mgła,
Gdy w obcy świat skieruję szkła
Lornetki swej rozczarowanej,
Ziewając, milcząc, śniąc — jak śni
Ten co wspomina dawne dni.

XX

Już pełno. W łożach blask i złoto,
Paradyz klaszcze, parter wre.
Tłum niecierpliwi się. I oto
Zasłona z szumem wznosi się.
Powiewna, uśmiechnięta ślicznie,
Za czarodziejskim śledząc smyczkiem,
Istomina, wśród wieńca nimf,
Jak lilia lśniąc, króluje w nim.
Na palcach jedną nogę wspięła,
A druga wolnym wirem w ruch
I nagle w lot! i niby puch
Od ust Eola, w dal frunęła!
Rozwija, zwija się, jak wąż,
I nóżką w nóżkę bije wciąż.

XXI

Huragan braw. Oniegin wchodzi,
Śród rzędów się przeciska, siadł;
Po damach w łożach szkłami wodzi,
Twarz nową jakąś odkryć rad.
Zlustrował suknie, fraki, ludzi,
Okropny niesmak wszystko budzi;
Kłania się paniom; mężom pań
Uśmiechów chłodnych złożył dań,
Potem, w fotelu swym rozparty,
Spojrzał na nimfy, diabły, ćmy,
Odwrócił się — i ziewnął, zły:
„Najwyższy czas na zmianę warty.
Balety... Zniosłem ich ze sto,
Lecz znudził mnie i sam Didelot".

XXII

Na scenie jeszcze pląsy, krzyki,
Amory skaczą, smoki rżą,
Jeszcze zmęczone lokajczyki
Na pańskich futrach w szatni śpią,
Jeszcze na sali klaszczą, piszczą,
Chrząkają, kaszlą, łupią, świszczą,
Latarni jeszcze płonie blask,
Jeszcze, śród śnieżnych stojąc zasp,
W uprzęży ciężkiej ziębną konie,
I jeszcze, rozpaliwszy stos,
Stangreci urągają w głos,
Besztają panów, biją w dłonie,
A już wybiega fircyk mój:
Do domu jedzie — zmienić strój.

XXIII

Jak namaluję, w jakie ramy
Oprawię piękny obraz ów?
Gabinet, w którym stał ubrany,
Rozebrał się i ubrał znów.
Co tylko Londyn miał wymyślny,
By zadowolić gust kapryśny
I czym — za sadło i za las —
Przez Bałtyk uszczęśliwia nas;
Co tylko stworzył smak paryski,
By zaspokoić zbytku głód
I próżność i wymogi mód
(Z produkcji grube ciągnąc zyski) —
Wszystko posiadał mędrzec nasz,
Co lat miał osiemnaście aż.

XXIV

Cybuchów carogrodzkich jantar,
Fajanse, brąz na tkanin tle
I — rozkosz zmysłów, skarb galanta —
Perfumy w szlifowanym szkle;
Nożyczki proste, zakrzywione,
Grzebienie w srebro oprawione,
Ze dwa tuziny szczotek, do
Paznokci, zębów... A propos:
J. J. Rousseau zachodził w głowę,
Jak mógł poważny, stary Grimm
Paznokcie czyścić, mówiąc z nim,
Arcywymownym wartogłowem.
Tu — myli się głosiciel praw.
Nie wniknął w sedno pewnych spraw.

XXV

Można rozumnym być człowiekiem,
A przecież o paznokcie dbać.
Zwyczajom, które rządzą wiekiem,
Musimy za wygraną dać.
W obawie krytyki zawistnej
Oniegin był pedantem istnym
W noszeniu się. Powiedziałbym,
Że manię miał na punkcie tym.
Mógł trzy godziny w swym pokoju
Przed lustrem mierzyć nowy frak,
Wychodząc zaś, wyglądał jak
Zalotna Venus w męskim stroju,
Gdy nocą, która szałem tchnie,
Bogini na redutę mknie.

XXVI

Ten kostium świeżej daty, myślę,
Ubawił was. I tu bym chciał
Opisać państwu jak najściślej,
Co modniś nasz na siebie wdział.
Przyznaję, śmiałe przedsięwzięcie,
A muszę — takie mam zajęcie;
Lecz pantalony, krawat, frak,
Tych słów w rosyjskiej mowie brak,
A widzę, mówiąc między nami,
Że zyskałby mój biedny styl,
Gdyby się nie tak bardzo pstrzył
Cudzoziemskimi wyrazami,
Chociaż zasięgam już od lat
„Słownika Akademii" rad.

XXVIII

Wyskoczył z sań, do sieni runął,
Szwajcara minął — i jak ptak
Po marmurowych schodach frunął,
Przygładził włosy, musnął frak —
I wszedł. Na sali rojno, tłoczno,
Orkiestra tnie melodię skoczną,
Już ledwie zipiąc. Ścisk i szum,
Mazura właśnie tańczy tłum,
Kawalergarda grzmią ostrogi,
Latają nóżki miłych dam
(Ponęta, którą dobrze znam),
A w ślad — płomiennych spojrzeń ogień:
I muzyki rosnący grom
Zagłusza szept zazdrosnych żon.

XXIX

Szalałem niegdyś za balami,
Za dni wesołych, szumnych dni...
Tam list najpewniej wręczyć damie
I wyznać, o czym serce śni.
O, wy, czcigodni małżonkowie,
Słuchajcie, co wam znawca powie,
Nie lekceważcie moich rad.
I wam, mamusie, służę rad
Przestrogą, co się przydać może:
Trzymajcie prosto swe lorgnon,
Na córkę baczcie! Bo się z nią...
Wolę nie mówić... nie daj Boże!...
A piszę o tym, bo już sam
Nie grzeszę więcej. Dosyć mam.

XXX

Kaję się, że na bale, biby
Straciłem dużo w życiu sił,
I dziś bym chętnie tracił, gdybym
Mniej czuły na moralność był.
Uwielbiam młodość szalejącą
I tłok i blask i radość wrącą
I przemyślane stroje dam
I nóżki ich... Lecz tutaj — kram:
Wątpię, czy znajdę w Rosji całej
Choć ze trzy pary zgrabnych nóg...
Ach, ile dotąd wspomnień, trwóg
Dwie nóżki budzą... Osowiały,
Wciąż je pamiętam... I we śnie
Do dzisiaj niepokoją mnie.

XXXI

Szaleńcze, kiedy, gdzie na świecie
Rozstaniesz się z tęsknotą swą?
Ach, nóżki, nóżki! Jakie kwiecie
Leciutkie wasze stopy mną?
Bez śladu przeszłyście po śnieżnych
Równinach smutnych pól bezbrzeżnych,
Wy, które wypiastował Wschód,
Maleńkie nóżki, których chód
Rozkosznie pieścił dywan miękki!
Gdym o was śnił, w niepamięć szły
O sławie upragnionej sny,
Ojczyzna i wygnania męki.
Minęło szczęście dawnych lat,
Jak wasz na łąkach lekki ślad.

XXXII

Ponętne są jagody Flory,
Diany pierś rozkoszą tchnie,
A jednak nóżka Terpsychory
Pokusą większą wabi mnie.
Wzrokowi wróżąc dar nad dary,
Swawolne budzi w nas zamiary
Urokiem swych umownych kras:
Gdy złoci ją kominka blask
W zimową noc, Elwino luba!
W dąbrowie, porośniętej mchem,
Przy stole, gdy przed okiem mem
Zakrywa ją serweta długa,
Na balu, na posadzce sal,
Na skałach, przy muzyce fal.

XXXIII

Nad morzem, pomnę, fal czeredy
Miłośnie lgnęły do jej nóg.
O, jak im zazdrościłem wtedy,
Wsłuchany w bliskiej burzy huk.
O, gdyby przypaść wraz z falami
I dotknąć miłych nóg ustami!
Nie, nigdy za kipiących dni
Młodości mej i ognia w krwi,
Nie pożądałem, tak dręczony,
Armidy młodej świeżych warg,
Ni piersi, pełnej słodkich skarg,
Ni róży lic rozpłomienionych,
Nie, żadnych namiętności wichr
Nie targał silniej zmysłów mych.

XXXIV

...Wspomnienie nowe przed oczyma:
Bywało, wdany w tajne sny,
Szczęśliwe strzemię dla niej trzymam,
I nóżka w moich rękach drży.
Znów, ledwom dotknął, marzę, roję,
Znów kipi zwiędłe serce moje,
Wezbrane ogniem krwi i słów,
I miłość znów, i trwoga znów...
Lecz czas, by struny odpoczęły,
Dość pieśni dla tych hardych dusz;
Nie warte są serdecznych burz,
Ni strof, którymi nas natchnęły...
Spojrzenia, słówka bogiń tych
Zawodne są, jak nóżki ich.

XXXV

A gdzież Oniegin? Snem zmożony,
Do domu jedzie. A już znów,
Łoskotem bębna obudzony,
Petersburg rzeźki wstał i zdrów.
Wstał kupiec; idzie kramarz dziarski,
Ruch na postoju dorożkarskim,
„Ochtianka" spieszy, niosąc dzban,
Śnieg chrzęści... Pełno gwaru, zmian.
Poranek miłe szumi, dźwięczy,
Z komina wschodzi dymu słup,
Pod niebo modry wznosząc czub,
I piekarz, akuratny niemczyk,
W kołpaku białym, już nie raz
Odmykał swoje „wasisdas".

XXXVI

Lecz on, po balu pełnym wrzawy,
Dzień zmienił w noc jak wszystkie dni:
Rozkoszy dziecko i zabawy
W błogości niezmąconej śpi.
Obudzi się — południe minie
I czas wiadomym trybem spłynie,
Dziś, jutro, wczoraj — życie wre,
Jednako nudne, chociaż pstre.
Lecz choć rozkoszą mu po brzegi
Napełnił czarę dobry los,
Choć młody, wolny był, bez trosk —
Czy był szczęśliwy mój Oniegin?
W tym wirze uciech, zwycięstw, uczt
Czy znalazł się do szczęścia klucz?

XXXVII

Nie! Wcześnie w nim uczucia zwiędły
I znudził konwenansów szych.
Dla kobiet stał się obojętny,
Nie trwonił już zapałów swych.
W miłości go zmęczyły zdrady,
W przyjaźniach — uczty i biesiady,
Bo trudno przecież dzień za dniem
Pasztety, sery, drób i krem
Zalewać sokiem gron ożywczym
I sypać ostrych słówek sól,
Gdy w sercu mdło, a w głowie ból...
I choć z natury był porywczy,
Lecz pistoletów ani szpad
Nie żądał już, gdy w furię wpadł.

XXXVIII

Tak popadł w stan, którego przyczyn
Powinien wreszcie dociec świat,
Stan, który spleenem zwą Anglicy;
A prościej: w ruską chandrę wpadł.
Choć nie próbował, Bogu dzięki,
Śmierć sobie zadać z własnej ręki
(Bo niechęć miał do takich prób),
Lecz jak Childe Harold i jak grób,
Był chłodny, smutny i posępny;
Na salonowych plotek gwar,
Na wist, na czułych spojrzeń żar,
Na wszystko wokół obojętny,
Milczący, niewzruszony widz
Nie widział, zda się, nic a nic.

XLII

Wielkoświatowe kapryśnice!
Was przede wszystkim rzucił precz,
I nic dziwnego w tym nie widzę:
Nasz wyższy ton — to nudna rzecz.
Choć może ta czy owa dama
Cytuje Saya i Bentama,
Lecz konwersacja ich — to wór
Nieznośnych choć niewinnych bzdur.
A takie przy tym są moralne,
Przezorne i wyzbyte złud,
Majestatycznych pełne cnót,
Dla mężczyzn tak nieosiągalne,
Takie bez skazy i bez win,
Że sam ich widok budzi spleen.

XLIII

I z wami, nocne zalotnice,
Z którymi się po łatwy grzech
Pędziło trójką przez ulice,
Aż w piersi zapierało dech,
I z wami zerwał mój szaleniec;
Rozkoszy bujnych odszczepieniec,
Oniegin, sam wśród czterech ścian,
Po pióro sięgnął — tworzyć chciał.
Lecz wnet go trud usilny znudził,
A co napisał — nędza nędz.
I koniec. Nie powiększył więc
Zadzierzystego cechu ludzi,
O których sądzić Bóg mnie strzeż,
Bo sam należę do nich też.

XLIV

Trapiony pustką dni bezczynnych,
By ciężar nudy z duszy zdjąć,
Przyswajać zaczął rozum innych;
Chwalebny zamiar, bądź co bądź.
Pochłonął niezliczone księgi —
I nic nie wyszło z tej mitręgi:
Tu fałsz, tam brednia, ówdzie kłam,
Tu sensu brak, a serca tam...
Gdybyż nowego coś! Niestety,
Na starej pieśni — stara pleśń,
I pleśnią trąci nowa pieśń...
Porzucił książki, jak kobiety.
Aż półki warstwą pokrył kurz,
I nawet go nie strzepnął już.

XLV

Jak on, wzgardziwszy blichtrem świata,
Rzuciłem pustych uciech zgiełk.
Znalazłem w Onieginie brata:
Dla aury marzycielskich mgieł,
Dla myśli chłodnych a wnikliwych,
Dla dziwactw, zresztą nieszkodliwych,
Swoistych zawsze — i bez gry...
On był posępny, a ja zły;
Namiętność doświadczyła obu,
W obydwu sercach płomień zgasł,
Męczyło życie obu nas,
A u młodości naszej progu
I ludzka złość i ślepy los
Dla obu gotowały cios.

XLVI

Kto żył i myślał, ten nie może
Nie gardzić w duchu bliźnim swym,
Kto czuł i kochał, tego trwoży
Dzień niepowrotny widmem czczym.
Już ten się złudą nie upija,
Gryzie go żal i wspomnień żmija...
Wszystko to razem, co nie dziw,
Ma często czarujący wpływ
Na dyskurs. Język Onegina
Z początku onieśmielał mnie,
Lecz szybko oswoiłem się,
Kiedy zjadliwie drwił, docinał,
Lub epigramem wroga truł
I żartem, z żółcią pół na pół.

XLVII

Jak często w letnią noc, nad Newą,
Gdy, zapatrzone w rzeki dno,
Jaśnieje przeźroczyste niebo,
A gładkich wód wesołe szkło
Lic nie odbija Diany boskiej,
My, wspominając swe miłostki,
Swą miłość dawną — my, bez słów,
I czuli i beztroscy znów,
O, jakżeśmy się upajali
Łaskawej nocy świeżym tchem!
Jak więzień, przeniesiony snem
W zielony las, szumiący w dali,
Tak myśmy, za marzeniem w ślad,
Gonili wiosnę młodych lat.

XLVIII

Trapiony żalem przejmującym,
Eugeniusz zadumany stał
„O granit się opierający",
Jak wieszcz o samym sobie piał.
W krąg cisza. Tylko się w stolicy
Nawoływali wartownicy
I na Milionnej dudnił bruk,
Dorożki się rozlegał stuk;
I tylko łódź po sennej fali,
Wiosłami wywijając, szła...
Pieśń z dala płynie, rożek gra,
A myśmy w zasłuchaniu trwali...
Lecz słodsza, w szumną zabaw noc,
Jest oktaw Torkwatowych moc.

XLIX

Adriatyckie fale! Brenta!
Wiem — ujrzę was! Tak zrządzi los,
Że kiedyś, z duszą wniebowziętą,
Usłyszę wasz cudowny głos,
Przez wnuki Apollina czczony!
Ten głos jest bliski mi, znajomy,
Z Albionu znam go dumnych strun!
Kraino marzeń mych i dum!
Tam Wenecjanki młodej wargi,
Kiedy gwiazdami niebo drgnie,
W gondoli wtajemniczą mnie
W miłości język i Petrarki,
Tam, w złotą noc, na toni wód,
Upoi mnie wolności cud.

L

Już czas, już czas mi na swobodę!
Czy spełnią się te moje sny?
Nad morzem czekam na pogodę,
Dalekie żagle wabię z mgły.
Pod płaszczem burz, na fal przestworzu,
O, kiedyż po swobodnym morzu
Swobodny wreszcie zacznę bieg?
Już czas porzucić nudny brzeg,
Gdzie wrogi żywioł na mnie czyha, —
I z mojej Afryki, z jej mórz,
Pod blaskiem południowych zórz,
Do chmurnej, słotnej Rosji wzdychać,
Gdzie-m szczęście znał, i troski złe,
I gdzie-m pochował serce swe.

LI

Oniegin był zdecydowany
Wyruszyć ze mną w piękny świat,
Lecz los się wtrącił w nasze plany,
Rozdzielił nas na wiele lat.
Zmarł właśnie ojciec Oniegina;
Na drugi dzień otoczył syna
Żarłocznych wierzycieli hufi.
Przysłowie mówi: ile głów,
Tyle rozumów. Spadkobiercę,
Na myśl o sądach przejął wstręt,
A mając dość postronnych rent,
Oddał im schedę z lekkim sercem.
A może przeczuł świeży plon:
Starego wuja rychły zgon.

LII

I oto nagle od zarządcy
Dostaje list, że z wujkiem źle,
Że wujek jest umierający
I że się z nim pożegnać chce.
Oniegin powziął plan niezwłoczny
I wnet karetą ekstra-poczty
Popędził na wieś. Ziewał, zły,
Że będzie musiał ronić łzy,
Udawać, wzdychać — wprawdzie z zyskiem,
Lecz (jak z początku rzekłem już)
W udręce nudy. Ale cóż?
Przyjechał — było już po wszystkiem.
Na stole sztywny leżał trup:
Dla chciwej ziemi świeży łup.

LIII

Z nawyku raczej niż z potrzeby,
Ze wszystkich stron się zjechał tłum
Sąsiadów łasych na pogrzeby:
I druh i wróg i swat i kum.
A po obrządku — goście, popi,
Gdy każdy dobrze zjadł i popił,
Rozeszli się. Z powagi min
Pomyślałbyś: nie lada czyn!
Tak stał się panem mój bohater
Folwarków, stawów, lasów, ziem...
Utracjusz, ładu wróg — i wtem
Ziemianin, dziedzic, obywatel,
I bardzo rad, że z dawnych dróg
Na jakąś nową wstąpić mógł.

LIV

Dwa dni zaledwie go bawiły
Zaciszne pola, zieleń traw,
Dąbrowy chłodnej półmrok miły,
Strumyka szmer, zarosły staw.
Trzeciego dnia już chodził smętny,
Na lasy, pola obojętny,
A potem pragnął tylko snu,
Aż się przekonał, że i tu
Nie mniejsze niż w stolicy nudy;
Choć bez salonów, wierszy, kart,
A jeden spleen drugiego wart:
Ta sama chandra co i wprzódy
Biegała za nim cały dzień
Jak wierna żona albo cień.

LV

Lubiłem zawsze spokój, głuszę
I życie na zapadłej wsi.
Tam — twórcze sny nachodzą duszę
I dźwięczna lira głębiej brzmi.
Samotnie nad jeziorem błądzę
I jednym się nakazem rządzę:
Far niente. Budzę się co dzień
Dla doznań błogich, słodkich mgnień,
Dla wczasów lubych i niewinnych,
Niewiele czytam, długo śpię,
Z polotnej sławy sobie kpię...
Czyż nie na takich dniach bezczynnych
Spędziłem wczesne lata swe?
A dziś je szczęściem, szczęściem zwę.

LVI

Miłości! kwiaty! próżnowanie!
Wasz jestem, wasz do duszy dna!
Więc niechże się wiadomym stanie,
Że co Oniegin, to nie ja.
Bo gotów jakiś nienazwany
Oszczerca wyrafinowany,
Wnioskując z Oniegina cech,
Wystawić mnie na wstyd i śmiech —
Żem własny portret mój namazał
I prezentuję go z tych kart
(Jak zrobił Byron, dumny bard)...
A cóż to? Czy nam kto rozkazał
O sobie tylko wiersze piać
A innym ludziom pokój dać?

LVII

Nawiasem: miłość romantyczna
Odwiecznym jest poetów snem.
Niejedna mi się zjawa śliczna
Przyśniła. Długo w sercu mem
Cudowna postać trwała skrycie,
Muza w nią potem tchnęła życie;
Tak pieśń wcieliła widzeń rój:
I dziewę gór, ideał mój
I brankę chana nad Salgirem,
A teraz bywa tak, że wprost
Przyjazny mnie zagadnie głos:
„Kto, powiedz, natchnął twoją lirę?
Śród tylu w krąg zazdrosnych dziew,
Ty — której z nich poświęcasz śpiew?"

LVIII

Kto rozkołysał twe natchnienie?
Kto, słysząc pieśni z twoich ust,
Tkliwym nagrodził cię wzruszeniem?
Kogo wliczyłeś w poczet bóstw?
Ii, przyjaciele! Jak Bóg w niebie,
Nikogo! Znam miłości przebieg,
Doświadczył mnie jej groźny szał.
Szczęśliwy ten, kto przy tym miał
Gorączkę rymów: bo podwoił
Malignę świętą twórczych słów
I, jak Petrarka, spełnił ślub,
A męki serca uspokoił
I sławę zdobył... Ja zaś — cóż —
Kochałem milcząc, głupi tchórz.

LIX

Minęła miłość. Muzy promień
Rozświetlił ciemny umysł znów.
Już wolny, szukam znów harmonii
Magicznych dźwięków, myśli, snów.
Poemat piszę; w sercu spokój;
I przy urwanych wierszach, z boku,
Już nie rysuję wdzięcznych lic,
Kobiecych główek, nóżek... nic.
Już popiół żarem nie wybuchnie.
Wciąż smutno mi... Lecz nie mam łez...
Ale i smutkom przyjdzie kres
I echo burzy w sercu zgłuchnie.
Wtedy to zacznę pisać twór,
Co zaćmi sławę innych piór.

LX

Poemat! Dwa tuziny pieśni!
Już miałem w głowie plan i treść,
Tymczasem jednak — tej powieści
Skończyłem właśnie pierwszą pieśń.
Przejrzałem wszystko okiem bacznem,
W utworze są sprzeczności znaczne,
Lecz niech już je utrwali druk...
Cenzurze jeszcze spłacę dług
I prosto w dziennikarskie szpony
Wysiłku mego rzucę plon,
Więc leć nad Newę z ciepłych stron,
Mój tworze nowonarodzony
I zasłuż sobie sławy dar:
Wymysły, gromy, zgiełk i gwar.

Aleksander Puszkin
przełożył **Julian Tuwim**

(Strofy IX, XIII, XIV, XXXIX, XL i XLI rozdziału pierwszego „Eugeniusza Onegina", znajdujące się częściowo w rękopisie, nie weszły do ostatecznie opracowanego przez Puszkina tekstu. **Red.**)

TADEUSZ BREZA

NASZ PARYŻ

Jeden z departamentów francuskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych nazywa się departamentem Związków Kulturalnych z Zagranicą. Na jego czele stoi znakomity francuski biolog prof. dr Laugier. Ostatnio zresztą został on powołany na stanowisko jednego z zastępców sekretarza generalnego ONZ. Na tym stanowisku ma wykonywać w skali międzynarodowej tę samą robotę, którą wykonywał dotychczas wyłącznie dla Francji. On to w imieniu swego ministerstwa zwrócił się do naszej ambasady w Paryżu z zaproszeniem skierowanym do polskich pisarzy. Względy transportowe i francuskie trudności mieszkaniowe sprawiły, że na tę wizytę do Paryża pojechały tylko cztery osoby. Prezeska Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Francuskiej Zofia Nałkowska, prezes Związku Zawodowego Literatów w Polsce Jarosław Iwaszkiewicz oraz wyżej i niżej podpisany jako przedstawiciel młodej literatury. Do samolotu wsiadł z nami również Adolf Rudnicki, który jechał niby to w swoich sprawach prywatnych, lecz na miejscu, w Paryżu, natychmiast wciągnięty został w tryby publiczne. Przemawiał, wygłaszał, udzielał wywiadów, brał udział w konferencjach prasowych tak jak każdy z nas.

Na jednej z takich konferencji, w polskim klubie studenckim, wśród mnóstwa innych pytań, padło i jedno takie: „A właściwie po coście przyjechali"? Pytającemu chodziło o to, abyśmy mu wytłumaczyli, jakie jest znaczenie podobnych wizyt. Bo mają one swój fronton czysto ceremonialny i formalny. Tak jak każde zwykłe, ludzkie „bywanie u siebie". Bywają bowiem u siebie nie tylko państwo Kowalscy i państwo Jabłońscy, kiedy są z sobą zaprzyjaźnieni, ale bywają u siebie również całe państwa. Wyraża się to właśnie w różnych takich wizytach dyplomatycznych, naukowych, literackich. Ale w naszym wypadku poza tym frontonem nadzwyczaj miłych i serdecznych ceremonii, o których będę mówił za chwilę, roztaczała się przestrzeń wspólnych naszych, prawdziwie żywotnych interesów. Interesów polegających na powiązaniu na nowo tych różnych, jak to mówią, nici, które czas i wojna musiały stargać. Zdawaliśmy sobie poza tym sprawę, że nadszedł czas, w którym te przysłowiowe nici można zastąpić czymś solidniejszym. Można zastąpić drutami i to o bardzo grubej średnicy.

Pierwsze poważniejsze rozmowy z naszymi gospodarzami dały od razu solidny grunt pod te nasze przeczucia i wrażenia. Zrozumieliśmy, że poza względami uczuciowymi, poza tym wszystkim co łączyć może dwa społeczeństwa poddane jednej strasznej doli i niewoli — została zburzona pewna ścianka między nami, między Polską i Francją, która sprawiała, że słowa, któreśmy do siebie nawzajem mówili — my i oni — brzmiały dotąd jakoś głucho. Ścianka ta oddzielała nas od Francji tak, że zasłaniała nas każdemu Francuzowi.

Francuzowi ze środowisk prawicowych zasłaniała Polskę możliwość dogadania się Francji z Niemcami. Jest to oczywiście uogólnienie, niemniej uogólnienie, które chyba trafia w sedno. Każdy, który się stykał z tymi sprawami, może przytoczyć całą litanię przykładów, ilustrujących moją tezę. Ileż wymowy na przykład w takim fakcie. Oto na rok przed wojną wszystko już jest przygotowane do tego, aby opublikować w Paryżu małą książeczkę propagandową o żołnierzu polskim. Przeciwko temu projektowi zrywa się burza. Ciąg protestów i zabiegów. Wreszcie kilka ministerstw działających łącznie skręca książeczce łeb. Czemu? Bo wydanie w tym czasie podobnej książeczki miałoby wyraźny posmak prowokacji antyniemieckiej. Dla całego mnóstwa Francuzów o pewnym, specyficznym usposobieniu politycznym, okrzyk: — Niech żyje Polska! — brzmiał jak: — Precz z Niemcami!

Albo inny drobiazg. Psychologiczny. Oto znawcy marszałka Pétaina twierdzą, że Vichy zrodziło się w jego duszy, kiedy był w Warszawie. Na pogrzebie Piłsudskiego. Tego dnia przez pole Mokotowskie, a w wilię tego dnia przez miasto, przelało się morze wojska polskiego. Ale marszałek Pétain go nie zapamiętał. Zapamiętał jedynie sposób, w jaki się przed nim, Pétainem, głęboko skłonił marszałek Goering. I od tego ukłonu zakołysał się w starym cały jego dotychczasowy świat. W ostatnie dni Francji przed kapitulacją, kiedy zwycięzca spod Verdun garnął się do wzięcia rządów w swoje ręce, które miały podpisać ugodę z Niemcami, ten ukłon staje się skarbem i atutem Pétaina. Gwarancją znaczenia, jakie jego osoba posiada w hitlerowskich Niemczech. Ten ukłon przeobraża się w wielką, świętą tajemnicę, którą Pétain zdradza dopiero tym mężom politycznym Francji, których chce powołać do współdziałania z sobą.

A znowu ludziom stojącym po lewej stronie wachlarza politycznego Francji, Polskę całkiem zasłania Rosja. Zachodzi tu zjawisko optyczne, które stanowi analogon do tego, co opisałem po prawej stronie. Polska jest tym krajem, który ostatecznie odtrąci propozycję Hitlera, by pójść razem z Rzeszą na Rosję. I to jest karta, którą dzisiaj w swoich partiach z Rosją Sowiecką, zdaniem pewnych ludzi, Polska nadto rzadko zagrywa, ale bo może też ta karta za wiotka! Wiemy, co się ostatecznie stało, lecz nie wiemy o tym, co się mogło stać. Nie wiemy, o ile w tym wypadku babka na dwoje wróżyła. Nasz ówczesny ambasador w Berlinie, Józef Lipski, urzędowo odtrącił ofertę Hitlera. Ale cóż! W tej samej epoce rewizytował niemieckiego ministra sprawiedliwości (Franka) nasz minister sprawiedliwości Witold Grabowski (poważny kandydat na premiera w razie silniejszego pójścia rządów w Polsce na prawo). Przyjął go na audiencji Hitler. Kiedy Grabowski wypowiadał słówka ceremonialne i komplimentacyjne, wódz Niemiec milczał. Bódł polskiego gościa oczami i nie otwierał ust. Grabowski, mimo że był to człowiek, którego łatwo speszyć nie było można, poczuł kroplę potu na czole. I wtedy to rzekł: „A poza tym jeszcze jedno łączy nasze kraje, a tym jest nieubłagana walka z komunizmem". I tu dopiero otwarła się Hitlerowi japa. Jednym tchem jazgotał przez półtorej godziny. Aż przez to zamącił się tego dnia cały porządek dyplomatycznych przyjęć w Reichskanzlei. Kiedy zaś wreszcie Grabowski wyszedł od Hitlera, wyszedł od niego jako człowiek, dla którego wódz Niemiec wszystko odsunął, aby tylko z nim się nagadać! Czy w pewnym momencie rozmowa ta w umyśle Grabowskiego nie nabrałaby siły co najmniej takiej, jaką sobie w starej głowie Pétaina pozyskał ukłon Goeringa!

I czy można przypuszczać, że podobne oświadczenie — pomińmy, w jakim stopniu psychicznie wymuszone — było jedynym, jakie złożone zostało przez wysoko postawioną osobistość polską wysoko postawionej osobistości niemieckiej? Oświadczenia takie, jeśli się je przyjmowało na tle zasadniczym ustroju Polski przedwrześniowej oraz gustów i niechęci, jakie nabierały siły u naszej młodzieży nacjonalistycznej, wytwarzały w międzynarodowych kołach lewicowych nieufność w stosunku do Polski. We Francji lewicowej przed wojną Polska budziła niepokój. Dla tych kół znowu okrzyk: — Niech żyje Polska — brzmiał jak okrzyk: — Precz z Sowietami!

Otóż te karambole, te echa, przebrzmiały — ta ścianka, o której wspomniałem, padła raz. Dla jednych zniosła ją wojna. Człowiek z francuskiej prawicy, który zawsze miał dla Polski dużo sympatii, może ją teraz śmiało wyrażać. Nie obraża przez to ducha Monachium, którego już nie ma. Dla Francuza z lewicy ściankę, o której mówię, zniósł Teheran, Jałta czy Poczdam. Polska stała się pojęciem politycznym jednoznacznym. Nieraz podczas pobytu w Paryżu mieliśmy, cała nasza czwórka, to wrażenie, że ilość i natarczywość pytań, jakie nam zadawali nasi gospodarze, intensywność ciekawości, jaką budził w nich nasz kraj, serdeczność, która niektórych z nas, pamiętających dawniejsze kontakty, zdumiewała, że to wszystko spada na nas teraz jako skutek jakiegoś dawnego zatamowania. Że słowem, gospodarze nasi są dla nas dlatego tacy, jacy są, bo chcą być dla nas mili i zaspokoić swoją ciekawość za te wszystkie dawniejsze czasy, kiedy to musieli się z jakichś powodów w tym względzie krępować.

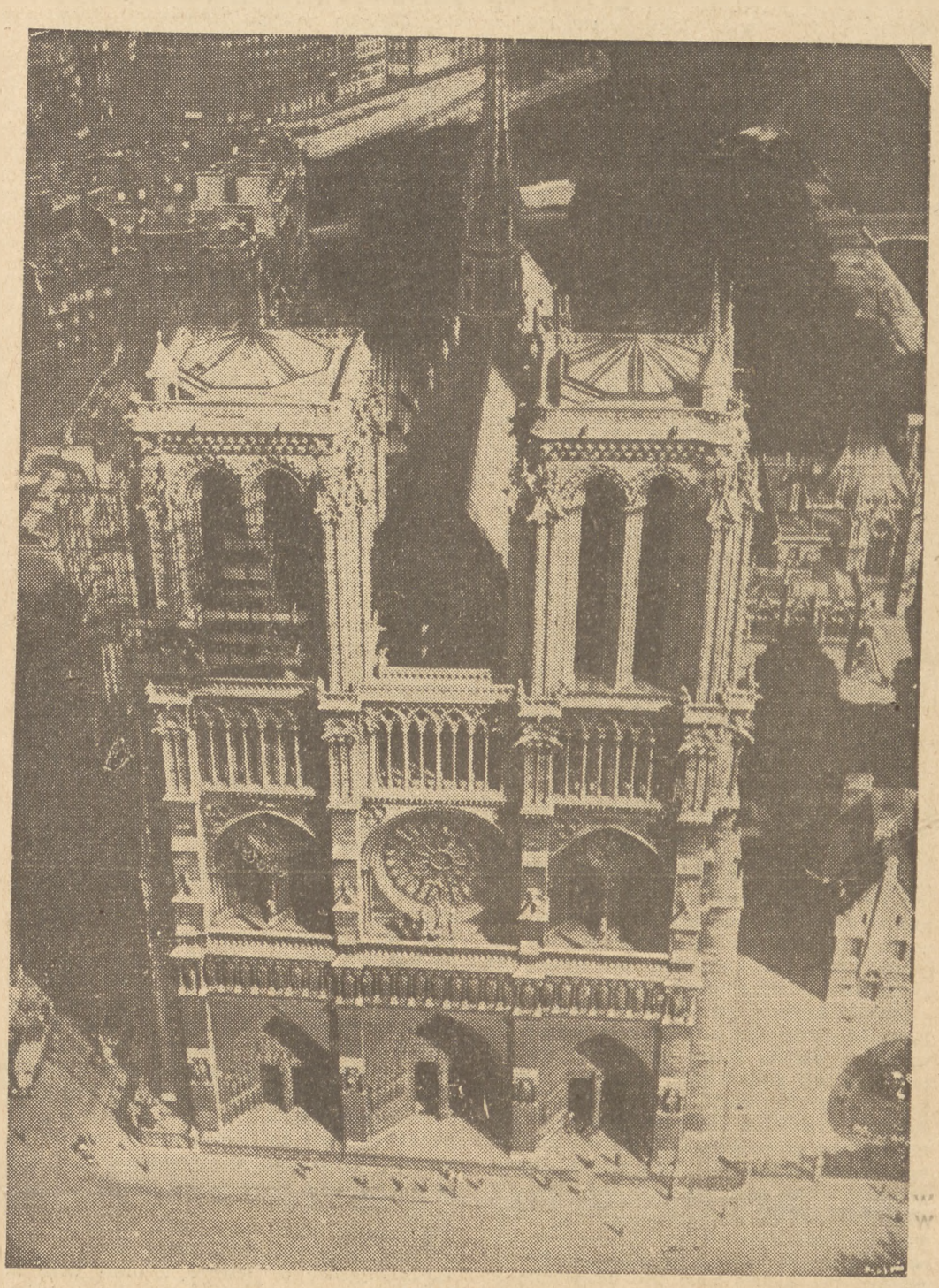

Notre-Dame

„Niezależnie od tego wszystkiego, co można o samolotach powiedzieć dobrego, teza, że są najszybszym rodzajem komunikacji, nie da się utrzymać" — śmieje się z nas ambasador Garreau, kiedy opowiadamy mu o naszej drodze do Paryża. W sumie trwała cztery dni! Z powrotem, w pewnym sensie, pięć! Jadąc zwiedziliśmy na dodatek Hamburg. I mogło to być zwiedzanie fundamentalne, bo mieliśmy na to trzy dni czasu. Z powrotem, zanim ostatecznie wyruszyliśmy z Paryża, przez trzy dni, dzień w dzień, musieliśmy się stawiać na lotnisku, aby za każdym razem dowiedzieć się, że pogoda tego dnia nie dopisała. Wreszcie czwartego dnia odlot. Ale tchu starcza tylko do Kopenhagi. Bo do tego wszystkiego jeszcze droga prowadzi teraz nie przez Berlin, ale naokoło, w związku z zakazem przelatywania nad strefą sowiecką.

Z Warszawy lecimy samolotem „Lotu". Od samych narodzin nie był to samolot pasażerski. Przerobiony został z innego samolotu, rzecz oczywista, ale — transportowego. Nie ma urządzeń ogrzewających. Grzej się więc, jak kto może! Owijamy się wszystkim, co mamy w kuferkach. A przez ten czas samolot wznosi się na 2000 metrów. Temperatura na dworze 20 stopni. Za szybkami ścina się lód. Zaczynamy sinieć. A tylko Nałkowska nie. Okutana, trzyma w palcach ołówek i notes. Począwszy od Łodzi, przez wszystkie wolne chwile w Warszawie, a na koniec

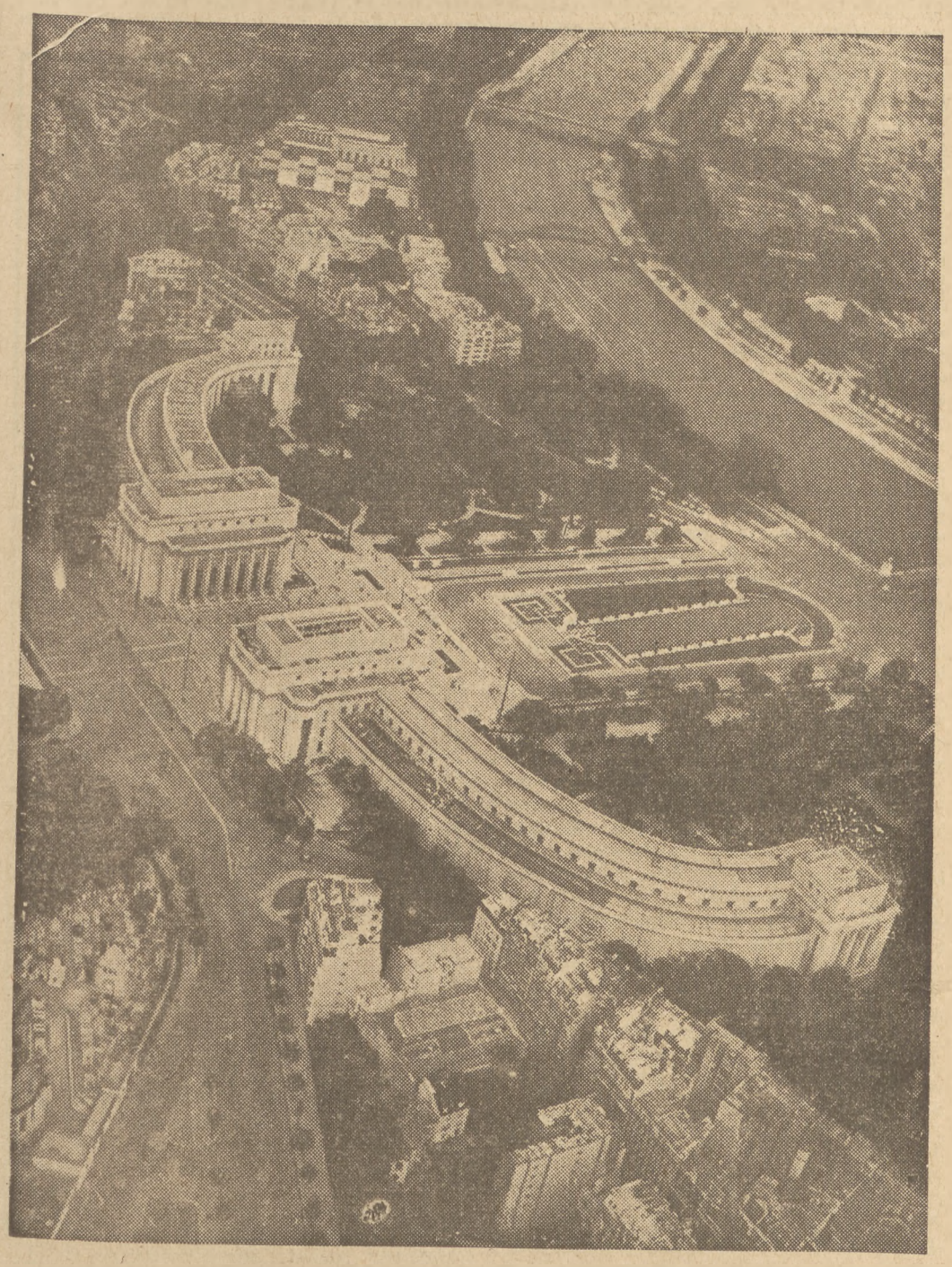

Widok na Palais de Chaillot i ogrody Trocadero

i teraz, w powietrzu, przygotowuje sobie na karteczkach myśli do przemówień, które potem wygłosi bez przygotowania. Również zestawia sobie w ten sposób materiał do wywiadów. U dołu każdej karteczki notuje czas i miejsce jej powstania. Bo te swoje notatki robi tylko w wielkim skrócie, kiedy zaś uprzytomni sobie, gdzie którą zrobiła, przypomina sobie więcej ze swoich myśli z danej chwili. Teraz właśnie skończyła, rozgląda się i pyta nas, gdzie jesteśmy. Nikt nie wie. Wobec tego, bezradna, u dołu bieżącej karteczki wypisuje po prostu: „Niebo".

Hamburg! Okupacja angielska. Jesteśmy jej gośćmi. Na lotnisku dostajemy bloczki na hotel i na wszystkie posiłki. Autokar zawozi nas przed hotel. Anglicy są pierwszego dnia poprawni, drugiego dnia chłodni, trzeciego dnia lodowaci. Na karteczkach meldunkowych wypisują szczegółowo wszystkie nasze literackie dostojeństwa. Ale kiedy się odzywamy, odpowiadają monosylabami. Jest nas wraz z załogą 25 osób. Anglicy rozmawiają tylko z jedną. Z dwuletnim dzieckiem, które nasz kurier dyplomatyczny wiezie z Warszawy do Rzymu. Wobec czego zaczynamy się zadawać ze sobą. Kurier okazuje się ojcem dziecka, a zarazem urzędnikiem ambasady w Rzymie. Dziecko więc po prostu wiezie sobie. Poznajemy naszego pilota, kapitana Stróżewskiego, dęblińczyka, którego lądowania są jak najdelikatniejsze muśnięcia. Poznajemy z imienia i nazwiska naszą stewardessę: Aldonę Skirgiełło! Skirgiełło w samolocie! Wysoko zajechała! Choć może nie w tej formie, jak to sobie wyobrażał jej praszczur spod Grunwaldu!

Wyruszamy na miasto. Dobrze wiemy, gdzie mamy skierować nasze kroki. Za przewodnika służy nam wykonana przez Anglików wielka mapa zniszczeń Hamburga. Miejsca na mapie pokolorowane na czerwono, to kwartały wypalone. Tam mury jeszcze stoją. Miejsca pokolorowane na niebiesko — to kwartały w proszku. Wciąż w oczach mamy Warszawę. Tak! Jej stan jest gorszy. Tylko, że tego miasta tutaj nie leczy nikt. Przeciwnie! Ten wielki wróg, antagonista i konkurent londyńskiego portu, dziś nie tylko leży straszliwie ciężko ranny, ale skazany jest na skonanie.

Ludzie? Stukają drewniakami. Twarze mają zielone. Przemierzamy tramwajami miasto wzdłuż i wszerz. Kiedy jedziemy z powrotem z jakiejś podmiejskiej dzielnicy, wsiada pani, widać że zasobna, w bardzo ładnym futrze. W ręku ma torbę na zakupy. W torbie tej nic, prócz garnczka, którego dno pokrywa, powiedzmy, pół litra mleka. Zgadujemy, że wraca co najmniej z godzinnej wyprawy po żywność właśnie tylko z takim łupem. Tak jest rzeczywiście. „Wieś ma wszystkiego w bród. Ale cóż! W mieście naszym nie zostało nam nic na wymianę". Wysiadamy z Rudnickim przy dworcu. Most. Przejazd. Przystajemy. Pod nami zatrzymał się pociąg samych węglarek. Ludzie jacyś się wyładowują. Z tobołami, z różnym ludzkim dobytkiem. Bardzo coś to znajomo wygląda. Po drugiej stronie filaru nieruchomieje akurat dwu niemczyków i przygląda się. „To są wysiedleńcy, co?" — pytają nas. Bąkamy coś pod nosem. „Ach" — poznają — „panowie są cudzoziemcami". „Tak"! „A skąd"? Patrzymy im w oczy, i oni patrzą w nasze. „No, skąd?" — przynaglają nas do odpowiedzi. Mówię: „Z Warszawy!"

Nareszcie trzeciego dnia widoczność jest na tyle dobra, że może być mowa o odlocie. Załatwiamy nasze formalności. Anglik, który na terenie portu lotniczego zajmował się nie tyle nami, co naszymi sprawami, nareszcie zadaje nam jakieś pytanie, które ma sycić jego ciekawość osobistą, a nie tylko ściśle urzędową. „W waszej załodze jaki macie procent Rosjan?" — „Maszyna jest produkcji rosyjskiej" — odpowiadamy. — „Lot nasz jest jednym z początkowych. Wieziemy więc z sobą mechanika sowieckiego, kontrolora maszyny". — „Aha! Więc macie kontrolora!"

Wreszcie Paryż! Czekają nas tu od trzech tygodni, ale bynajmniej nie oczekują nas właśnie tego dnia. Z Warszawy telegrafowało do ambasady ministerstwo, depesza nie przyszła. Myśmy wysłali depeszę do ambasadora z Hamburga, depesza nie przyszła. Chcemy z lotniska zatelefonować. Le Bourget jeszcze nie ma telefonicznego połączenia z Paryżem. Nie możemy tego wszystkiego pojąć. Przecież wojna stworzyła najdoskonalszą i bardzo czułą sieć połączeń. Co się z nią stało?

Podczas naszych kwarantann na lotniskach, ileśmy się tego nasłuchali. „Sztokholm nie odchodzi!", „Croydon dziś nie odchodzi!", „Marsylia, Dakar, Casablanka nie odchodzi!" Ma się doprawdy uczucie, że w tym, tak bezgranicznie natężonym podczas wojny świecie mechaniki, coś się przemęczyło. Lotnik francuski, z którym o tym rozmawiam, długo opowiada mi, jakich wielkich uszkodzeń doznały podczas wojny bez mała wszystkie porty lotnicze Europy. Na koniec dodaje: „A poza tym my wszyscy mamy już dosyć ryzyka!".

A my! Nasza czwórka! Jakże bezgranicznie mamy dosyć ruin! Pierwsze dni, nim ruszy naszykowana zarówno przez Francuzów, jak i przez Irenę Krzywicką, naszego kulturalnika z ambasady, cała maszyneria rautów, przyjęć, wywiadów, kontaktów, konferencyj i śniadań — mamy wolne. Dowiadujemy się z miejsca o mnóstwie rzeczy, które nas czekają. Na karteczkach Krzywickiej już wszystko jest, ale teraz trzeba to przenieść na kalendarzyk, który niczego nie dawał sobie zapisywać, póki data naszego przyjścia na świat paryski wisiała w powietrzu. Teraz Krzywicka, a również wspomniany departament francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, oraz paryskie Towarzystwo Przyjaźni Francusko-Polskiej, PEN-Club i wiele innych instytucyj nuże do telefonów, do maszyn do pisania, do kopert, do zaproszeń. My zaś w te dni wolne spieszymy na Paryż!

„Poznasz miasto, wobec którego wszystkie inne miasta tracą swoją rację istnienia!" — pouczał mnie mój stryj, kiedy pierwszy raz miałem jechać do Paryża. Znałem więc to miasto, ale nie mogłem znać uczuć, które dziś budzi. Tej dziwnej mieszaniny wzruszenia i radości, że ocalało. I tej domieszki nie żalu oczywiście, ale pewnego nowego smutku, który się tu budzi, że nie ocalało inne! Nie mogłem znać również tego zdumiewającego uczucia, które ze wszystkich uczuć doznawanych podczas tych dni początkowych było tu najsilniejsze. Uczucia dumy! Jakże tu je wytłumaczyć? Może dotychczasowym upokorzeniem, którego człowiek doznawał, przez cały czas wojny, właśnie jako człowiek. Pewnie, że ci, którzy szli od Stalingradu, czy od Monte Cassino, czy ci, którzy lądowali w Normandii, czy na Sycylii kosztowali innego duchowego chleba. Nasz chleb, ludzi z GG, był wyłącznie tylko chlebem upokorzenia. Chlebem kłamstwa, chlebem brzydoty, głupoty. At! Nie mówmy już o tym wszystkim. Ale tę strunę upokorzenia odgina we mnie nagle to miasto cudowne, majestatyczne, w rozmiarach tak podniosłych, wykonane rękami takich samych stworzeń, jak wszyscy ludzie. Poczułem się tym miastem podniesiony na duchu, elastyczniejszy. Jest teraz puste zresztą. Wielkimi strugami płynący tłum nie przyciąga uwagi tak, jak dawniej. Samochodów jest dwudziesta część dawnych. Montmartre o 10 wieczór już wymarłe. Po Montparnassie nie chodzą ulicami żadne dziwadła. Mało w ogóle kto nim chodzi. Odkąd przeważna część kontyngentów alianckich opuściła Paryż, zamarł plac Clichy wraz z przyległościami. Nieliczne grono pań jeszcze czynnych, i panów pracujących w pośrednictwie, kroczy sobie tam i sam, nie licząc na wiele, raczej tylko z poczucia obowiązku. W całości te cząstki wesołych ulic, które widzę, są jak obraz jakiejś hoffmanowskiej pozytywki. I w Halach nie ma dawnego życia. Słynny Weber, czy Café Royal, czy Maxim wyludnione. W przejeździe do Rzymu, udzielając wywiadu prasie, oświadczyli nawet dwaj nowi kardynałowie amerykańscy: „Nie poznajemy dawnego Paryża!". Więc widać nie zmyślam nic, skoro się mogę powołać na głosy takiej powagi!

Aliści po dwu czy trzech dniach kończą się nasze wolne dni. Scenariusz układu Ireny Krzywickiej i prof. Laugier gotów. Czwórka nasza wstępuje na scenę. Początkowo mamy być w Paryżu dziesięć dni, ale po dziesięciu dniach i nam i naszej ambasadzie robi się widno, że tylko w drobnej części nasyciliśmy francuską ciekawość tego, co się dzieje teraz w naszym kraju.

Prolongujemy nasz pobyt. Czynimy to z wielkim poruszeniem ducha. Bowiem wśród naszej czwórki są dwie osoby, którym w związku z ich literackimi interesami spieszno do kraju. Osoby te zapisują się w konsulacie na lot powrotny. Konsulat miejsca przyobiecuje, w ostatniej chwili miejsc nie ma. Zdaje się jednak, że to sam ambasador w tak dyplomatyczny sposób daje nam do zrozumienia, jak przychylnie ocenia walor naszej obecności w Paryżu. W ten sposób z 10 dni zrobiło się dwadzieścia, z dwudziestu 5 tygodni.

Stronę oficjalną naszego Paryża scharakteryzował już w nr 28 „Kuźnicy" Jarosław Iwaszkiewicz. Nie będę tu więc dublował wiadomości podanych przez niego. Raczej ogólnie opowiem, że dzień nasz rozpoczynał się prawie z reguły jakimś wywiadem. Nie jednym, zwłaszcza jeśli idzie o Nałkowską. Z rana również należało znaleźć czas na skreślenie odpowiedzi na różne ankiety oraz na przygotowanie króciutkich oświadczeń, o które nas często proszono do prasy. W dnie przed naszym wyjazdem do Paryża, a również w Hamburgu, zarówno Iwaszkiewicz jak i my dwaj młodsi, zachowywaliśmy się jak koniki polne. Tylko mądra Nałkowska pracowała jak mrówka. Toteż było jej potem w Paryżu lżej. Coraz to zgłaszano się do nas o artykuły, choćby o notatki informacyjne. Trzeba było wykorzystywać każdą wolną chwilę czasu. A zapotrzebowania wzrastały. Oto należało przygotować wspólną prelekcję francuską o naszej współczesnej literaturze. Jeszcześmy jej nie wypowiedzieli, a już na pniu zabierają od nas nasze kawałki francuskie miesięczniki. I to tak poważne, jak: „Confluences" czy „Esprit". Poza tym odczyty polskie i francuskie, przemówienia okolicznościowe. Albo i nie koniecznie okolicznościowe, jak na przykład doskonałe, improwizowane przemówienie Iwaszkiewicza w Institut d'Etudes Slaves na temat obecnej sytuacji literatury i pisarzy w Polsce.

Przy tej obfitości działań nie zawsze można już liczyć na inwencję ostatniej chwili. Bo grozi możliwość, że się będziemy powtarzać. Ranek więc jest całkowicie poświęcony pracowitym działaniom przygotowawczym. „Ale dlaczego nas nie uprzedzono!" — zwracam się ze skargą do Iwaszkiewicza, jako bardziej oblatanego w podobnych reprezentacjach. — „Bylibyśmy się przygotowali i nie pracowalibyśmy w podobnie nerwowych warunkach!". Ale z odpowiedzi Iwaszkiewicza oraz z licznych informacji ludzi dobrze znających Paryż dzisiejszy i dawniejszy, orientuję się, że moje pretensje są niesłuszne. Oczywiście, że można było przewidzieć tę żywość zainteresowania, jaką nam okazał Paryż. Ale jest to żywość nowa. Pracownik ataszatu kulturalnego naszej ambasady sprzed wojny (Lechoń kierował nim), opowiada, jak trudno było, nawet uwzględniwszy ogromne osobiste stosunki Lechonia, zainteresować poważniej jakieś literackie pismo paryskie obecnością choćby nawet najwybitniejszego pisarza polskiego w Paryżu. Paryż literacki pędził swój żywot tryumfalny i wspaniały całkiem własny. Literatury bocznych krajów nie interesowały go. A już w żadnym razie Polska. Z korespondencji Fournière'a i Rivière'a przypominam sobie takie oto zdanie: „Czy czytałeś w ostatnim numerze „Revue Littéraire" te dwie nowele na końcu? Jak może pismo o pewnych ambicjach umieszczać podobne okropieństwa. No! Wprawdzie to polskie". Brr! Zimno się robi od tej mieszanki pogardy, obojętności i pobłażliwości. W tym nastroju trudno było, aby ktokolwiek bądź, choćby i Lechoń, działał żwawiej. O innych względach wspominałem już na początku. Resztę spróbuję sformułować w drugim artykule. W każdym bądź razie teraz nastąpił przełom. Ciekawość i serdeczność zajęły miejsce dawnej samochwalczej samowystarczalności. Dlatego stało się z nami to, co się stało. Każdy z nas przyjechał do tego Paryża jak skromny komiwojażer, raczej rozglądać się za tym, jakie tu nowe modele, niżeli podtykać swoje. Tymczasem raptem zostaliśmy oskubani z każdej myśli, którąśmy z sobą przywieźli, z każdego rękopisu, z każdego karteluszka.

Ale dzień się nie kończy na poranku. Po nim następują jeszcze inne części dnia. Kiedy oglądam mój kalendarzyk, którym posługiwałem się w Paryżu, widzę, że zmieniał się on powoli w wołową skórę. Cyfry są imponujące. Biorę kilka byle jakich, ilustrujących ten czy inny kierunek naszych zainteresowań i czynności. Oto Iwaszkiewicz — wygłosił 19 przemówień, oto Nałkowska — udzieliła 17 wywiadów, ja mówiłem przez radio 4 razy. Kiedyśmy porachowali, ile razy łącznie byliśmy w teatrach, okazało się, że statystycznie tak by wypadało, jak gdyby każdego dnia zawsze jeden z nas był na jakimś przedstawieniu.

A rozmowy? Przecież po sześciu latach nie wiem wprost, jak to już nazwać, chyba jakiegoś zadołowania, nagle dorwaliśmy się do rozmów z Europą. A poza tym zważmy, że delegacja akurat została złożona z ludzi pióra mocno zawisłych od piśmiennictwa francuskiego. Była to więc z naszej strony wizyta niezmiernie osobista, wizyta stęsknionych. Również spotkanie dwu światów literackich, które po okresie burzy nagle spostrzegają, że bynajmniej najbliższy czas nie jest czasem spokoju, ale czasem literackiej rewolucji. Jeszcze ona nie nastąpiła, ani u nich, ani u nas. Ani tu, ani tam jeszcze się stara literatura nie przerodziła w nową, niemniej i u nich, tak jak u nas, czuć te jakąś drżączkę jak przed przenosinami. Stąd namysły i narady. Stąd szczerość i wielka potrzeba zbliżenia. Ale tych sił działających pomiędzy nami a naszymi kolegami francuskimi dośrodkowo, ileż jeszcze było więcej! Przeniosę te sprawy do następnego artykułu, bo tu chcę mówić o samych ramach.

Ramy? Cóż o nich powiada kalendarz z notatkami. Oto kilkanaście pozycji najciekawszych. Pod względem intelektualnym i informacyjnym chyba najważniejsze były te, kiedyśmy się z naszymi kolegami francuskimi zbierali w ich redakcjach. Rozmowy takie trwały po kilka godzin. Stawały się wprost wspólnymi obradami, element towarzyski z nich znikał. W ten sposób zebraliśmy się w „Humanité", dzienniku francuskiej partii komunistycznej, rozmowom przewodził redaktor naczelny tego pisma Jean Richard Bloch. — Dalej — w lokalu miesięcznika „Esprit", katolików postępowych, którym kieruje Emanuel Mounier. Wreszcie w „Lettres Françaises", które są ściśle tym, czym u nas „Kuźnica". Treściowo ważne były również dwie konferencje prasowe w ministerstwie spraw zagranicznych. Na pierwszej wystąpiliśmy w charakterze pytających, podczas następnej w charakterze wypytywanych. Zjawili się na niej kierownicy, lub najbliżsi ich pomocnicy, wszystkich najważniejszych literackich czasopism i paryskich domów wydawniczych. Kiedy już po powrocie z Paryża zapoznałem się z ciekawą książeczką Louis Parrot pt. „L'intelligence en guerre", zrozumiałem, że na tę konferencję przybył trzon tego, co piórem oraz wysiłkiem organizacyjno-wydawniczym walczyło w podziemiach z niemiecką okupacją. Inne zebrania odbywały się w PEN-Clubie, w Instytucie Slawistycznym oraz — wymieniam je na ostatku, choć było może jednym z najciekawszych — w naszej ambasadzie z grupą pisarzy katolickich, a więc z S. Fumetem, redaktorem tygodnika „Temps Présent" (pismo podczas okupacji nielegalne), jego zastępcą dominikaninem Boisselet, członkiem Akademii Francuskiej hr. D'Harcourt i in.

W następnej grupie wyliczyć muszę liczne wspólne posiłki oraz gromadniejsze zebrania. Miały one charakter mniej zawodowy, mniej ścisły, były w większym stopniu przyjemnością niżeli pracą, dawały jednak sposobność do zetknięć, które potem każdy jak umiał i chciał rozwijał w stosunki już osobiste. Oto więc śniadanie wydane przez Departament Związków Kulturalnych z Zagranicą, podczas którego ambasador Skrzeszewski wygłosił doskonałe przemówienie o Boyu-Żeleńskim. Iwaszkiewicz swój toast zakończył śliczną pointą, która obiegła literacki Paryż. Rzekł: „A teraz pozwól Francjo, że

THE BRITISH DIGEST
CO PISZE ANGLIA?

Pod takim tytułem ukazywać się będzie MIESIĘCZNIK W JĘZYKU POLSKIM pod redakcją
BIURA ANGIELSKIEGO MINISTERSTWA INFORMACJI I PROPAGANDY

Pierwszy numer ukaże się 8 kwietnia

W miesięczniku tym ukazywać się będą najlepsze i najciekawsze artykuły i publikacje ogłaszane w prasie angielskiej. Między innymi artykuły:

CHURCHILLA
TOMASZA MANNA
BEVINA
O'NEILLA
i in.

Do nabycia we wszystkich księgarniach

Składy główne:
WARSZAWA: Księgarnia Wolność, Marszałkowska 95
WARSZAWA-PRAGA: Księg. Światowid, Targowa 15
ŁÓDŹ: Główna Księgarnia Wojskowa, Piotrkowska 47
BYDGOSZCZ: Księg. Nauka, Aleja 1-go Maja L. 5
GDAŃSK-WRZESZCZ: Księgarnia A. Krawczyński
GDYNIA: Księgarnia W. Mężnicki, ul. 3 Maja 27/31
CZĘSTOCHOWA: Księgarnia „Czytelnik"
TORUŃ: Księgarnia Jan Wojciechowski
POZNAŃ: Księg. św. Wojciecha, Al. Marcinkowskiego 21
KATOWICE: Księgarnia, Szafranka 9
LUBLIN: Księg. Z. Budziszewski, Krak. Przedm. 29
KRAKÓW: Księg. Gebethnera i Wolffa, Rynek Gł.
WROCŁAW: Księgarnia, Kołłątaja 32
WŁOCŁAWEK: Księgarnia, Jan Koziński
KIELCE: Księgarnia A. Dąbrowiecki
RADOM: Księgarnia H. Lipiński
PIOTRKÓW: Księgarnia K. Kubik
BIAŁYSTOK: Księg. Spółdz. Ośw., Żwirki i Wigury 16

»RZECZPOSPOLITA«
najstarszy dziennik Nowej Polski drukuje autentyczne wspomnienia
pt.:
»Gwiazda generała W. Sikorskiego«
pióra
St. Strumph-Wojtkiewicza
znanego literata, b. Szefa Biura Oświaty armii gen. Andersa w ZSRR i Kwatery prasowej Polskich Sił Zbrojnych w Londynie

JAN KOTT
MITOLOGIA I REALIZM
SZKICE LITERACKIE
TACYT
STENDHAL
GIDE
NADREALIŚCI
CONRAD
MALRAUX
CENA ZŁ 190.–
DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

za twoją przyszłość i pomyślność wypiję trochę twojego wina!“ Podobne przyjęcie, tym razem popołudniowe, odbyło się w Société des Gens de Lettres. Tam każde z nas trojga zostało zaproszone do wygłoszenia przemowy. Dalsze — to obiad w PEN-Clubie, obiad w „Ce Soir“, przyjęcie w Amitié Franco-Polonaise, z bardzo ciekawym przemówieniem Jean Cassou i równoważną mu odpowiedzią Nałkowskiej, wreszcie obiad w ambasadzie, który zaśnił nadzwyczaj efektownymi nazwiskami w naszym karnecie przyjęć, obejmował bowiem: dwu ministrów, w tym jednego — spraw zagranicznych, jednego ambasadora, i to amerykańskiego, pięć francuskich wielkości literackich, i to Duhamela, Mauriaca, Eluarda, Aragona i Elsę Triolet, wreszcie jednego generała, i to generała De Lattre de Tassigny. Poza tym ambasada wydała raut gigantyczny, na który rozesłała 600 zaproszeń i na którym miała prawie komplet. To wielka rzadkość. Ktoś biegły w sprawach dyplomatycznych i sprawach paryskich gratulował nam. „Odkąd ambasada ambasadą nie było w niej takiego ruchu, i przed wojną też!“ Ale oczywiście, nie była to nasza sprawa, ani nasza zasługa. Jedynie czasów i naszego zawodu.

Przemiany, którym uległa po wojnie Europa, przeobraziły większość społeczeństw, wpłynęły, lub też wpłynąć powinny przekształcająco na ten starożytny i przez wieki wymodelowany instrument, jakim jest tzw. „służba zagraniczna“. Dotychczas korpus dyplomatyczny, wraz z jego różnymi przyległościami, ataszatami itd. posługiwał się pewnym specyficznym elementem ludzkim i działał w pewnej specyficznej aurze, w aurze towarzyskiej. Na tereny międzynarodowe, do spraw międzynarodowych nadawali się najlepiej międzynarodowcy. Przedstawiciele arystokracji, czy też wyborne imitacje takowych wypuszczane do ostatnich lat w świat przez bez mała wszystkie ministerstwa spraw zagranicznych. Ale na tę międzynarodówkę przyszedł kres. Nie tylko z tego względu, że tak jak u nas straciła ona, że tak rzekę, grunt pod nogami, ale też z różnych innych względów, które dobrze znamy. Państw, które miały inny typ służby zagranicznej, a więc takich jak Rosja Sowiecka czy Czechosłowacja, nagle pojawiło się mnóstwo. Należymy do nich teraz i my, oraz też częściowo — w zależności od tego jaki jest kraj, który się obsyła danymi elementami swojej służby — Włochy i Francja. W przełomie tym nowy typ służby szuka sobie nowego tonu i takich nowych jakości, również międzynarodowych, które by mogły zastąpić dawne jakości towarzyskie. Tymi jakościami stają się jakości intelektualne. Naukowe, artystyczne, literackie. Placówka zagraniczna, która uchwyci ten ton i nim emanuje, staje się placówką prawdziwie nowoczesną i w nowym rodzaju żywą.

Ale prócz konrefencyj, rozmów, przyjęć, wywiadów, odczytów i teatrów, jeszcze były w Paryżu wystawy i przyciągały nas księgarnie. Malarstwo przykuwało naszą uwagę, tak jak mogłyby przykuwać naszą uwagę opowiadania brata starszego, którego nie widzieliśmy 6 lat. Księgarnie zdumiewały obfitością nowych pozycji bibliograficznych. Oto książki naszych różnych dawnych miłości literackich, a oto książki naszych różnych nowych znajomości! Książek, które ukazały się w ciągu naszego miesięcznego pobytu, kupiliśmy dużo. Książek z przeszłych miesięcy już prawie dostać nie mogliśmy. Nawet za urzędowym pośrednictwem naszych gospodarzy. Niemniej przywieźliśmy druków niezłą ilość.

Nie uszła ona baczności naszego kapitana Stróżewskiego, z którym również wracaliśmy. Kiedy bowiem przyniesiono mu wykaz naszych wag łącznych z kuferkami, zdziwił się, żeśmy tak utyli. Ale tłuszczu to nam w naszym Paryżu na pewno nie przybyło. To były tylko te masy papierów, gazet, broszur, książek i albumów, któreśmy z sobą wieźli do kraju. Odczytujemy je teraz, tak jak się odczytuje tekst pod ilustracją, którą się najpierw obejrzało.

Tadeusz Breza

Zofia Nałkowska, Tadeusz Breza i Jarosław Iwaszkiewicz w Paryżu.

LEONARD PODHORSKI-OKOŁÓW

Trzy Joanny*)

Ujawnienie zbieżności sytuacyjnych i frazeologicznych, nie dających się, naszym zdaniem, objaśnić względami jedynie na podobieństwa stylowe, pozwoliło nam rozszerzyć znacznie w poprzednim artykule krąg utworów Mickiewiczowych, powstałych w związku z jego miłością do odeskiej „Donny Giovanny“. Zwiększyła się dzięki temu pokaźnie i ilość charakteryzujących ją szczegółów, co łącznie z przytoczonymi tamże danymi przekazanymi przez p. Lacroix (Sobańską) umożliwia, jak się zdaje, odtworzenie sobie w ogólnych zarysach, tak wizerunku samej owej „pani Joanny“, jak i obrazu wzbudzonego przez nią w poecie uczucia. Mając pod ręką takie, ogólne chociażby zarysy i „przykładając“ je do poszczególnych postaci z ówczesnego otoczenia kobiecego Mickiewicza i do łączących go z nimi stosunków, wpadniemy może wreszcie na właściwy trop poszukiwanej przez nas osoby.

Wymienione szczegóły wskazują, że była to jakaś bardzo młoda i urocza przedstawicielka rodu niewieściego, narodowości polskiej, żywego i beztroskiego na ogół usposobienia, obdarzona pięknym i dobrze wyszkolonym głosem. Na imię miała Joanna czy Joanna-Laura i w chwili poznania Mickiewicza nosiła jeszcze, jak się zdaje, nazwisko panieńskie. Dopiero w jakiś czas potem, gdzieś w pierwszej połowie 1825 roku, wyszła za maż za jakiegoś bogatego kupca odeskiego czy może raczej — za obywatela ziemskiego (może z terenu tzw. Litwy), posiadającego w Odessie własny dom, ewentualnie — bogato urządzone mieszkanie i związanego z tym miastem portowym stosunkami handlowymi. Tryb życia jego lub inne jakieś powody zmuszały go widocznie do częstego opuszczania domu, co pozwalało jego romantycznie usposobionej i dalekiej od wzorowego „prowadzenia się“ małżonce posyłać do kochanka posłańców z listami wzywającymi do spotkania i przyjmować go, w strzeżonym przez „galonowego“ mieszkaniu, nawet we wczesnych godzinach rannych, gdy spoczywała jeszcze na swym łożu (sonety: „Dzień dobry“, „Dobranoc“ i „Wizyta“).

Sądząc ze słów p. Lacroix, twierdzącej, że zerwanie przez nią (p. Joannę) stosunku z Mickiewiczem nastąpić miało wskutek złośliwych plotek, rozsiewanych o nich przez zazdrosną o poetę małżonkę ówczesnego prezydenta miasta Odessy, hrabinę Guriew, poznanie się nastąpić musiało wkrótce po przybyciu wygnańca wileńskiego na bruk odeski, a być może i gdzieś w drodze do tego miasta (w Kijowie? w Steblowie?). Wiadomo bowiem, że hr. Guriew już w połowie maja 1825 roku wyjechała wraz ze swym małżonkiem do Petersburga; wszystkie więc jej, długotrwałe zapewne, intrygi musiały mieć miejsce przed wymienicnym terminem.

Uczucie, jakie w Mickiewiczu wzbudziła nasza p. Joanna, było typową „miłością od pierwszego wejrzenia“. Drogę do jego serca utorował jej w znacznym stopniu, jak się zdaje, właśnie jej śpiew, jej głos, który jak posłyszany „w ziemi cudzej głos ojczysty“, łzy mu z oczu wycisnął. I ona zdawała mu się wówczas odwzajemniać równie żywym uczuciem (sonet „Do Laury“). Dla zobrazowania dalszego rozwoju tej miłości i stopnia zaangażowania się w niej każdego z partnerów należałoby przytoczyć niemal w całości obie elegie: „Do D. D.“ i „Godzinę“. Wyręczą nas w tym czytelnicy, przypomniawszy sobie z książki treść tych ślicznych i smutnych skarg i marzeń poety. Wreszcie, jak już wspomnieliśmy, nastąpiło ze strony p. Joanny zerwanie. Czy doszło do niego skutkiem owych intryg i plotek hr. Guriew, czy były one jedynie pretekstem, a prawdziwym powodem był fakt, że Mickiewicz istotnie, serca tej ukochanej „nigdy nie miał“, czy też, być może, grała tu rolę okoliczność, do której przyznawał się on w „Zalotach“: „Jedną tylko duszę I na Parnasie mam włości; Dochodów piórem dorabiać się muszę, A ranga — u potomności!...“, — tego nie wiemy. Nie potrafimy również powiedzieć, kiedy to zerwanie nastąpiło. Sądząc z treści „Godziny“, malującej uczucia poety w chwili, gdy zerwanie było już faktem dokonanym, lecz i on i ona przebywali jeszcze w Odessie, musiało ono nastąpić jeszcze przed wyruszeniem w podróż krymską. Po powrocie bowiem do Odessy, Mickiewicz, według słów p. Lacroix, nie zastał już tam p. Joanny, która razem z pozostałym towarzystwem wcześniej opuściła Krym i wkrótce potem wyjechała z mężem do Petersburga. W czasie więc owej krymskiej wyprawy musiała już ją łączyć z poetą jedynie mniej lub więcej etykietalna znajomość towarzyska, co zresztą zdaje się być w zgodzie z „tonacją“ sonetów: „Pielgrzym“ i „Jastrząb“. Ten ostatni ciekawy jest i pod innym jeszcze względem: zawiera wyraźną aluzję do jakiegoś, planowanego jak gdyby przez p. Joannę zamachu na wolność poety. Czy chodziło tam o jego wolność jako kawalera, czy też o wolność osobistą jako niebezpiecznego pod względem politycznym osobnika — nie podobna z całą pewnością stwierdzić. Wskazawszy na podobieństwo swego losu do losu jastrzębia, który, tak jak i on, porwany i zaniesiony przez burzę w „dalekie strony“, siadł wypocząć chwilę na maszcie ich okrętu, ostrzega Mickiewicz swą towarzyszkę słowami: „On jest gościem, Giovanno! kto gościa uwięzi, jeżeli jest na morzu, niech się burzy lęka“. Jak rozumieć tu owo uwięzienie: dosłownie, czy tylko przenośnie? Zrozumiałe są jego powiedzenia o sobie: „Wspomnij na moje... dzieje“, „I mnie wicher odpędził, słota zlała skrzydła“. Nie wiemy natomiast, co miał on na myśli, mówiąc do swej towarzyszki: „Wspomnij na twe własne dzieje! I tyś na życia morzu — widziałaś straszydła“. I nie wiemy, jak należy pojmować dwa ostatnie wiersze tego niedokończonego sonetu: „Po cóż te słowa miłe, te zdradne nadzieje? Sama w niebezpieczeństwie — drugim stawisz sidła“. Jakie to były jej „własne dzieje“, jakie widziała ona w swym życiu „straszydła“, i jakie, znane Mickiewiczowi „niebezpieczeństwo“ jej groziło? Zakochania się w kimś, czy też dostania się do rąk organów, tropiących związki tajne? Zależnie od takiej lub innej interpretacji tych słów zmieni się i wizerunek wewnętrzny p. Joanny. Nim jednak jakieś nowe dane nie pozwolą na ustalenie, która z tych dwu interpretacji jest właściwa, trzeba będzie w odpowiednich rozważaniach wziąć je obie pod uwagę.

Tak wyglądałaby, ogólnie rzecz biorąc, „miara“ czy raczej „forma“, którą przykładać trzeba będzie kolejno do wszystkich „Danaid“ mickiewiczowskich z okresu odeskiego, by drogą eliminacji dojść do właściwej „Donny Giovanny“.

Przystąpmy więc do owego „przymierzania“. Pierwszy krok — to odrzucenie z otaczającego go roju „pięknych niewiast“ wszystkich tych, które nie nosiły imienia Joanna bądź też Laura. Jak już wspomnieliśmy, mogą tu na razie wchodzić w rachubę trzy tylko osoby, trzy — Joanny. Jedna, dobrze wszystkim biografom poety znana „przyjaciółka“ jego z tamtych czasów i dwie inne, które według wszelkiego prawdopodobieństwa również należały do liczby jego znajomych z czasów odeskich.

JOANNA ZALESKA

Joanna z Rybickich Bonawenturowa Zaleska, która według słów Aëra „w stosunku do Mickiewicza postawiła się od razu jakoby matka i nieraz go za jego lekkość surowo gromiła“, a do której najpewniej zwracał się poeta ze słowami: „Patronko biednych losów przyjaciela“ („Do mojej przyjaciółki“), była córką Józefa-Jana Rybickiego, podczaszego nowogródzkiego, później — sędziego grodzkiego czernichowskiego (1781 r.).

Mickiewicz poznał ją podobno w drodze do Odessy, już jako mężatkę, w majątku męża jej, zamożnego obywatela ziemskiego, Pustowarówce. Ile lat liczyła ona sobie wówczas — nie wiemy; co się zaś tyczy wyglądu zewnętrznego, to miała ona jakoby nie grzeszyć pięknością. Brak ten wynagradzały natomiast szachetne rysy jej charakteru, przede wszystkim — jej wielka dobroć i uczynność. Nic nam nie wiadomo o tym, aby miała ona uprawiać śpiew. Z języków, wiemy że posiadać musiała dość dobrze francuski, przetłumaczyła bowiem nań „Konrada Wallenroda“.

Na podstawie notatek, poczynionych swego czasu z ksiąg szkolnych nowogródzkich, przechowywanych w b. Archiwum Państwowym w Wilnie, mogliśmy ustalić, że Mickiewicz kolegował w Nowogródku z rodzonym bratem p. Zaleskiej, Marcinem Rybickim, o którym St. Morawski, mówiąc o eksdywizji Jezna, gdzie był właśnie ów przysłowiowy pałac Paca, w ten sposób pisze: „Najlepiej jednakże na rzeczy wyszedł pan Marcin Rybicki, kiedyś kozaczek, do zapalania fajek w domu Wolskich użyty, a potem, jak podrósł, przez te lat dziesięć ekonom, zawiadujący gospodarką i dochodami całego Jezna. Ten Rybicki w oczach moich przywlókł się tutaj z Nowogródka na dwóch parszywych kasztanowatych szkapach, w lichą z łozy plecioną kałamaszkę zaprzężonych. Dzisiaj, nie licząc złupionych sprzętów, ruchomości, kapitałów, nie licząc i win, i wielkiego zapasu starego kowieńskiego lipca, pan Rybicki posiada dziedzictwem awuls od Jezna, wartujący 200.000 złotych, awuls najpiękniejszy, a kiedyś Pacom wielce drogi i miły“ („Kilka lat młodości mojej w Wilnie“, str. 398). Szczegóły te rzucają pewne światło na środowisko, z jakiego wyszła p. Zaleska, a równocześnie czynią prawdopodobnym przypuszczenie, że Mickiewicz mógł już kiedyś dawno, podczas jej jakiejś bytności u brata, widzieć ją w Nowogródku. Mogłoby więc to nam tłumaczyć znaczenie słów: „W nieznanym oku dawnej znajomości pytał“, o ile brać je dosłownie, i o ile chcielibyśmy uzasadnić mniemanie prof. Kallenbacha, że sonet „Do Laury“ może „odnosić się równie dobrze do Bonawenturowej Zaleskiej“.

Jednakże brulionowa (resp. rękopiśmienna) redakcja tego wiersza, brzmiąca: „Jużem ciebie jak dawną znajomą powitał“, zdaje się wskazywać na przenośne raczej użycie przez autora omawianych słów. Równocześnie wszystko, co wiemy o charakterze stosunku, jaki łączył Mickiewicza z p. Zaleską, świadczy, że role były tu podzielone całkiem inaczej, niż widzieliśmy to w elegii „Do D. D.“. Listy p. Zaleskiej dowodzą ponad wszelką wątpliwość, że to ona kochała się w poecie na wpół skrycie, trwale i — bez wzajemności. On zaś uważał ją raczej za serdeczną „przyjaciółkę“, u której szukał jedynie słów pociechy w chwilach zmartwień i rozpaczy, spowodowanych nie przez nią, lecz jak sądzą jedni jeszcze przez Marylę, a jak, słusznie naszym zdaniem, mniemają inni — przez ową „D. D.“ Mickiewicz lubił bardzo i cenił

*) Por. „‚Łudziłem despotę‘... Mickiewicz a dekabryści“ w nr 65, ‚Czy nie koniec bałamutnej legendy? Mickiewicz i pani Sobańska‘ w nr 66 i ‚O mickiewiczowskiej ‚Donnie Giovannie‘“ w nr 69 „Odrodzenia“.

tę swoją „Przyjaciółkę", lecz o żadnej miłości jego ku niej nie było tam, jak wolno wnosić, mowy. Toteż, dla pocieszenia jeno, zapewne, biednej p. Bonawenturowej, „złożył" on swój, mocno konwencjonalny i nieszczery wiersz „Niepewność", o bardzo znamiennym refrenie: „Czy to jest przyjaźń? czy to jest kochanie?" „Przyjaciółka" wiedziała jednak dobrze, iż z jego strony nie jest to „kochanie", i w jednym z listów, pisanych w parę lat później, wyraziła obawę, czy nie znudziła go czasem jej częsta pisanina. Tego rodzaju obaw nie byłaby z pewnością żywiła pani „D. D.", której rąk „zdradne charaktery" tak skwapliwie poeta z rąk jej posłańców wyrywał. Zresztą sam fakt, że pomiędzy nim a p. Bonawenturową nie było żadnego „zerwania", i że ich znajomość trwała nadal długie jeszcze lata, świadczy o niepasowaniu naszej „formy" do p. Zaleskiej (jak wiadomo, w czasie pobytu Mickiewicza w Moskwie oboje państwo Zalescy bawili tam również przez czas dłuższy, co znalazło swój wyraz w znanej dedykacji do poświęconego im „Konrada Wallenroda": „Bonawenturze i Joannie Zaleskim na pamiątkę lata tysiąc ośmset dwudziestego siódmego").

Wszystko to pozwala nam stwierdzić, że w błędzie byli ci spośród historyków literatury, którzy w p. Zaleskiej widzieć chcieli interesującą nas „Donnę Giovannę". Szukajmy jej tedy gdzie indziej.

JOANNA BOBROWA

Tak, tak! Właśnie ta sama „pani Bobrowa", ta sama „kochanka" dwu, a jak zobaczymy dalej, być może i wszystkich trzech z naszej „wielkiej trójcy romantyków". Ta ostatnia ewentualność, stanowiąc swego rodzaju „rekord", zdaje się być, na pierwszy rzut oka, jakimś zgoła nieuzasadnionym, fantastycznym pomysłem. Przy bliższym jednak zaznajomieniu się ze stroną faktyczną całej sprawy, przyznać będziemy musieli, że podobne przypuszczenie nie jest znów tak całkowicie niedorzeczne i bezpodstawne.

Nigdzie, ani w żadnym utworze, ani w korespondencji Mickiewicza, ani też w najobszerniejszym, przez syna napisanym jego żywocie, nie znajdujemy najmniejszej wzmianki o tym, by miał on być kiedykolwiek znajomym p. Bobrowej. Co więcej, nie wspomina o tym nigdzie i Zygmunt Krasiński, który tak dobrze znał Mickiewicza i tak bliskie utrzymywał z nim stosunki. Skąd tedy przyszła nam do głowy wspomniana ewentualność?

Na możliwość istnienia takiej, po mistrzowsku zakonspirowanej historii, zwrócił naszą uwagę artykuł Rulikowskiego pt. „Mickiewicz w podróży do Odessy" („Księga pamiątkowa... A. Mickiewicza", II 191), gdzie autor, opierając się — jak twierdził — na źródłach drukowanych oraz na zachowanych tradycjach miejscowych, podaje, że w drodze z Petersburga do Odessy, na przełomie stycznia i lutego 1825 roku, poeta bawił dni kilka we wsi Kozarewicze pod Kijowem, u brata swego Aleksandra, który wieś tę dzierżawił od Morzkowskiego, ojca słynnej z urody córki Joanny, późniejszej p. Bobrowej. Jak twierdzi Rulikowski, Mickiewicz lubił w czasie tej bytności przechadzać się w stronę sąsiednich wsi: Hlebówki i Jasnohorodki, gdzie opodal drogi znajdowała się starożytna studzienka (krynica), ze wzniesioną nad nią, mocno już zbutwiałą kapliczką. Na ścianie tej kapliczki miał on nawet napisać: „Byłem, wodę piłem. Woda dobra. — A. Mickiewicz 1824" (!). Co do samego spotkania się z bratem, to miało ono napełnić ich obu wielką radością, z tego głównie powodu, iż nastąpiło po kilkoletnim rzekomo, niewidzeniu się.

W przytoczonej relacji Rulikowskiego fakty rzeczywiste pomieszane zostały najwyraźniej z domysłem czy też nawet z wymysłem. W omawianym czasie Aleksander Mickiewicz nie mógł być gdzieś pod Kijowem i nie dzieliła ich wówczas z Adamem paroletnia rozłąka, wiadomo bowiem, że od ostatniego widzenia się braci podczas wyjazdu poety z Wilna, upłynęły zaledwie trzy miesiące, i że Mickiewicz w liście do Odyńca, pisanym z Kijowa (5/17 lutego 1825 roku), w słowach: „Spytaj mego brata Aleksandra". „Przeczytaj tę kartkę Aleksandrowi", wyraźnie mówi, że brat jego znajdował się wówczas tam, gdzie i Odyniec, to jest — w Wilnie.

Jakkolwiek skądinąd wiadomo nam, że Aleksander Mickiewicz, po ukończeniu w r. 1824 uniwersytetu, istotnie czas jakiś przebywał na wsi, gdzieś na Ukrainie, to jednak wielce wątpliwe, aby nawet kiedyś w późniejszych latach mógł gospodarować we wspomnianych majątkach, a cała legenda o jego tu pobycie powstała naszym zdaniem prawdopodobnie w związku z tym, że jak czytamy w „Gawędach familijnych" Turkułła (Jana, brata ministra), zarządzającego w latach trzydziestych dobrami ziemskimi, stanowiącymi wówczas własność osobistą p. Bobrowej, miał on tam, jako administratora, niejakiego Jerzego Mickiewicza. Nie był to jednak, jakby można mniemać, sądząc z imienia i nazwiska, najmłodszy z żyjących braci Adama, którego „złe prowadzenie się", jak o tym wiemy z listów poety, wiele mu „zdrowia ujęło". Mieliśmy bowiem w ręku listy tego źle prowadzącego się Jerzego, który, jak wiadomo, służył jako lekarz we flocie czarnomorskiej, świadczące że w latach, o których mówi Turkułł, przebywał już w Sebastopolu. Nie był również specjalistą w zakresie gorzelnictwa, tak jak ów, zachwalany pod tym względem przez Turkułła, jego pracownik. Najprawdopodobniej więc z tego to Mickiewicza, być może, jakiegoś dalekiego krewniaka poety, tradycja miejscowa zrobiła z biegiem lat, metodą „z igły — widły", brata jego, Aleksandra.

Prawdziwa natomiast okazuje się informacja o pobycie poety w Kozarewiczach. Rulikowski zaczerpnął ją z artykułu pt. „Dawidowa bożenka" (kapliczka), drukowanego w czasopiśmie „Kijewskaja Starina", w roku 1885 (?). Autor opisując m. in. wnętrze wspomnianej kapliczki przydrożnej mówi, że wśród napisów pokrywających jej ściany rzucał się w oczy cytowany już napis polski, podpisany pełnym imieniem i nazwiskiem: „Adam Mickiewicz 1824". Mimo iż okres sześciu miesięcy, jakie spędził poeta w roku 1824 na wolności, do czasu wyjazdu z Litwy, jest nam bardzo mało znany, i nie wiemy dokładnie, gdzie i kiedy w ciągu całego tego czasu przebywał, mało jednak prawdopodobne wydaje się przypuszczenie, że w tym właśnie okresie mógł on gościć tu, w Kozarewiczach. Przypuszczać raczej trzeba, że rok 1824 został przez Mickiewicza napisany omyłkowo, tak jak mu się to nieraz zdarzało, wskutek nieprzyzwyczajenia się jeszcze do pisania nowego, 1825 roku.

Kto wie zatem, czy w ciągu tych dziesięciu dni, spędzonych w Kozarewiczach i w Kijowie, nie nadarzyła się poecie jakaś okazja poznania przyszłej p. Bobrowej.

Joanna Morzkowska (1807—1889) była córką Franciszka i Joanny Duklany z Żochowskich. Ojciec jej, podkomorzy kijowski około 1806 r., a marszałek gubernialny kijowski około roku 1817, był bratem rodzonym znanego wówczas na Ukrainie bogacza, Józefa Morzkowskiego, pupila słynnego Prota Potockiego. Ten stryj p. Bobrowej piastował dożywotnio godność prezesa sądu głównego kijowskiego i był w omawianym przez nas czasie dyrektorem miejscowych kontraktów. Tuż pod Kijowem posiadał obszerne dobra Hostoml. Wszystko to czyni wielce prawdopodobnym tak ówczesny pobyt w Kijowie państwa Morzkowskich wraz z ich, będącą na wydaniu, osiemnastoletnią córką, jak i ewentualne poznanie się z nią Mickiewicza w którymś z miejscowych polskich domów.

W trakcie zaznajamiania się z bliższymi, a dość licznie po różnych pracach rozsianymi szczegółami co do osoby samej p. Joanny, natknęliśmy się na szczegół, który zdawałby się przemawiać na korzyść przypuszczenia, że to p. Bobrowa była obiektem odeskiej miłości Mickiewicza. To tytuł szkicu St. Wasylewskiego „Donna Giovannina", zapożyczony od Zygmunta Krasińskiego, który tym imieniem nazywał p. Bobrową w rozmowie z przepowiadającymi przyszłość zakonnicami jednego z włoskich klasztorów. To włoskie brzmienie imienia ukochanej twórcy „Irydiona" dziwnie jakoś sugeruje istnienie więzów pokrewieństwa z ową mickiewiczowską „Donną Giovanną".

Jak powiedzieliśmy, nie brak szczegółów do scharakteryzowania osoby i życia Joanny Bobrowej, urodzonej w jednej z centralnych gubernii rosyjskich. Dość obszerny jej życiorys, pióra tegoż St. Wasylewskiego, oraz odnośną literaturę podaje „Polski Słownik Biograficzny" w tomie pierwszym. Dużo szczegółów zawierają: „Pamiętniki" D. Ochockiego, „Spis ważniejszych miejscowości powiatu starokonstantynowskiego" J. Giżyckiego, „Listki wichrem do Krakowa z Ukrainy przyniesione" Heleniusza (t. I) oraz wspomniane już „Gawędy familijne" Turkułła. Przytoczmy niektóre z nich.

„Około r. 1824 ożenił się pan Teodor (Bóbr) z Joanną Morzkowską herbu Korwin... Joanna Bobrowa słynnej była urody, odznaczała się wykształceniem wielkim, umysłem wzniosłym, czarowała wszystkich, a wiadomo, jaki wpływ wywierała i jaką grała rolę w życiu Z. Krasińskiego i Słowackiego. W pożyciu p. Bobrów z początku wszystko zapowiadało powodzenie i szczęście, sądząc po ludzku; niczego im niby nie brakowało... pobrali się z miłości, przeto musieli się kochać, i jak to nie kochać takiej ślicznej kobiety, jaką była pani Joanna" (Giżycki, l. c. str. 52 n). Wasylewski podaje, że otrzymała ona wychowanie i wykształcenie domowe pod kierunkiem francuskich wychowawczyń i guwernantek. Ochocki czy też Rolle mówią, że ślub pp. Bobrów odbył się „na początku roku 1825". Któryś z nich, a może „szef" Drzewiecki („Pamiętniki") czy też Karwicki („Z zamglonej przeszłości"), notuje, że na św. Jana czy też na św. Piotra i Pawła 1825 r. był w Humaniu wielki zjazd, na którym Aleksander Potocki wprowadził w świat p. Bobrową, której niezwykła uroda oczarowała zebranych. Cytowany już Giżycki podaje jeszcze, że państwo Bobrowie zamieszkali w majątku p. Teodora, w Zahajcach, prowadząc tam dom otwarty na szeroką skalę, słynny z gościnności i z innych towarzyskich zalet gospodarzy. Dowiadujemy się również, że p. Bóbr posiadał w Odessie „spichrze na zboże i 2 fu-tory (chutory) koło miasta". Jak widać, łączyły go z tym miastem stosunki handlowe, które, przypuszczać należy, trwały i w omawianym przez nas czasie. A że, jak zgodnie o tym świadczą wszystkie znane nam źródła, zjazd do Odessy ziemiaństwa polskiego z odległych nawet prowincyj był niezwykle liczny, z całą pewnością niemal można przyjąć, że i nasza młoda para bawiła tam równocześnie z Mickiewiczem. Jeśli więc nie poznał on p. Bobrowej, jeszcze jako panny, w Kijowie, to tu, w Odessie, musiałby chyba ją spotykać w sferach towarzyskich, w jakich się tam obracał. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że poeta poznał w Petersburgu, jeszcze zdaje się przed wyjazdem do Odessy, rodzonego brata p. Teodora, Urbana Bobra, kolegę pułkowego wspomnianego w poprzednim naszym artykule Konstantego Rdułtowskiego. A że i p. Teodor, jak czytamy u któregoś z pamiętnikarzy, bardzo często odwiedzał stolicę nadnewską, więc i jego mógł Mickiewicz znać jeszcze z czasów petersburskich. Znał też on w Odessie i wspomnianego wyżej Aleksandra Potockiego (Wł. Mickiewicz: „Żywot", II 97). Nie brakło więc im z p. Bobrową wspólnych znajomych.

Jeśli wreszcie zestawimy zanotowany przez Aera szczegół o tym, że powróciwszy jesienią 1825 r. z Krymu do Odessy, poeta nie zastał już tam pani „D. D.", która wyjechać miała wraz z mężem do Petersburga, z brzmieniem relacji Turkułła: „Zimę, roku 1826 spędzili państwo Bobrowie w Petersburgu" — zgodność uzyskanego tu wizerunku ze skreśloną na początku niniejszego artykułu sylwetką „syntetyczną" odeskiej „Donny Giovanny", będzie niemal całkowita.

Dwa jedynie szczegóły mogą budzić niejakie wątpliwości: to, czego dowiadujemy się o pani „Giovannie" z sonetu „Jastrząb" („widziałaś straszydła", „sama w niebezpieczeństwie") oraz, tak charakterystyczne dla niej umiejętności śpiewacze (sonet „Do Laury"). O ile owo „niebezpieczeństwo" mogło, być może, grozić p. Bobrowej z tych samych powodów, z jakich mąż jej miał, jak wiadomo, w roku 1831 zatarg z ówczesnymi władzami, kiedy to zmuszony był nawet zmienić miejsce zamieszkania — o tyle o zdolnościach wokalnych jego małżonki nie znaleźliśmy dotychczas nigdzie żadnej wzmianki. Pozwolimy tu sobie przytoczyć odpowiedni ustęp z prywatnego listu, jaki na nasze zapytanie, otrzymaliśmy od p. Aliny Świderskiej. Autorka powieści biograficznej o Krasińskim pt. „Zygmunt" i doskonała znawczyni epoki, w łaskawie udzielonej nam informacji, obok opinii w poruszonej wyżej kwestii, daje również i ogólną charakterystykę p. Bobrowej, którą to charakterystykę, nieobojętną dla uzyskania pełni obrazu, podajemy poniżej w całości.

„I ja także poszukiwałam" — pisze p. Świderska — „śladów muzykalności p. Bobrowej, ale nigdzie nie znalazłam żadnej wskazówki co do tego. Przypuszczam, że musiała grać na fortepianie, ponieważ to należało do salonowej edukacji, ale zapewne b. przeciętnie, skoro Zygmunt nigdy o tym nie wspomina. O tym, by śpiewała, nie ma nigdzie wiadomości. W ogóle była to osoba b. dobra i piękna, ale nader ubogo obdarzona pod względem umysłowym. Wykształcenie, jak wszystkie kobiety współczesne, miała nadzwyczaj powierzchowne, a przyrodzonej inteligencji b. mało. Próbował ją kształcić Krasiński, uczył ją po angielsku, czytywał z nią Szekspira, ale niewiele to pomogło. Nie ma żadnego dowodu, żeby zasmakowała w poważnej lekturze; w tym, co czytała, poszukiwała tylko wzruszeń erotycznych. Języki obce znała naturalnie, ale — prócz francuskiego, który był dla niej namiastką mowy rodzimej — sądzę, że również tylko powierzchownie. Nie myślę, żeby czytywała Dantego; Petrarkę — może. Co do włoskiej wersji jej imienia, „Giovannina" (którą zresztą zdaje mi się wprowadził Krasiński), to przypuszczam, że używała go po prostu przez snobizm. Muszę jeszcze dodać, że nigdzie, ani w moich „Krasinscianach" ani „Mickiewiczianach", których wertowałam takie mnóstwo, nie natrafiłam na żaden ślad (jak dotąd) znajomości z nią Mickiewicza. Niewątpliwie musieli się spotykać w jakichś salonach paryskich, ale dotychczas ani w korespondencji Adama, ani w tym co o nim pisano, nie spotkałam jej nazwiska".

Brak jakichkolwiek wzmianek o umiejętnościach śpiewaczych Joanny Bobrowej, zdaje się, na ogół biorąc, przemawiać przeciw identyfikowaniu jej z mickiewiczowską „Donną Giovanną"; jakkolwiek, z różnych powodów (zmiana nastroju w związku z niesnaskami małżeńskimi, jakaś choroba krtani itp.) mogła ona w późniejszym czasie zaniechać uprawiania śpiewu. Fakt natomiast, iż nie zachowały się żadne wzmianki o tak bardzo prawdopodobnej, żeby nie powiedzieć — nieuniknionej — znajomości z nią Mickiewicza, kto wie, czy nie pozostaje w związku z zastanawiającą tajemniczością, jaka otacza osobę ukochanej poety, tak z jego strony (owo „D. D."), jak i ze strony p. Sobańskiej w wiele lat później, i już po śmierci obojga kochanków, żądającej jak widzieliśmy od Aëra bezwzględnego zachowania w tajemnicy prawdziwego nazwiska odeskiej miłości poety.

JOANNA MOSZYŃSKA

Przechodzimy wreszcie do trzeciej, jak sądzimy, nieznanej zupełnie historykom literatury kandydatki do tytułu mickiewiczowskiej „Donny Giovanny". Mamy na myśli Joannę z Moszyńskich, żonę znanego patrioty i działacza narodowego, skazanego za udział w spisku dekabrystów na wieloletnie wygnanie na Syberię, Piotra Moszyńskiego.

Joanna Moszyńska była córką Jana i Marii z Sadowskich, starościanki rzeczyckiej, 2 v. Władysławowej Jelskiej, a wnuczką Augusta-Fryderyka, stolnika koronnego i Teofili Potockiej, wojewodzianki poznańskiej. Brat jej dziadka, Fryderyk-Józef Moszyński, posiadał ogromny majątek w kraju i za granicą. Żonaty był z Barbarą Rudzieńską, wojewodzianką mazowiecką, i z Salomeą Rzyszczewską, kasztelanką lubaczewską, córką Adama. Umierając w roku 1817 bezpotomnie, zapisał swe posiadłości wnuczkom: Joannie i starszej jej siostrze — Fryderyce, pod dziwacznym nieco warunkiem, że majątki te pozostaną w rodzinie, to znaczy, że obie siostry w razie zamążpójścia musiały poślubić kogoś z Moszyńskich.

Zaczęto się tedy rozglądać za mężem dla młodziutkiej Joanny i znaleziono go w końcu w osobie noszącego to samo nazwisko, lecz bynajmniej nie krewnego, wspomnianego już Piotra Moszyńskiego, syna Ignacego-Hilarego i Zofii Romiszewskiej. Piotr Moszyński, ur. w roku 1799 (według Z. L. Radzimińskiego „Marszałkowie Wołyńskiej Ziemi itd.", — 30. IV. 1800 r.), „miał lat 18, kiedy poślubił wielkiej urody hrabiankę Joannę Moszyńską. Początek powieści, która w bolesny miała zamienić się dramat, przypomina dawne czasy, kiedy na węzły małżeńskie bardziej może niż dziś wpływały względy familijne i wola rodziców. A jednak związek ten młodzieńcowi jeszcze rokował nie tylko świetne stanowisko, jakie daje wielka fortuna, ale także i szczęście serca. Jakoż wcześnie dojrzały Piotr Moszyński przeniósłszy się na Wołyń zajął tam niebawem wśród obywatelstwa stanowisko nad swój wiek poważne i wpływowe" (L. Dębicki: „Piotr Moszyński", Kraków, 1879, str. 5).

Stanowisko, o którym mówi Dębicki, to godność marszałka szlachty wołyńskiej, jaka mimo nieosiągnięcia przez hr. Piotra przepisowego wieku została mu przez współobywateli nadana z wyboru w roku 1823. Z racji otrzymania tej godności wydał młody marszałek głośne swego czasu przyjęcie, podczas którego „pani Moszyńska, młoda i piękna, wszystkim się także podobała; dom ich był b. miły, gościnny i wesoły; mieli wtedy kilkoletnią córeczkę Józefę" (Giżycki, l. c., str. 599).

W tym samym zdaje się roku państwo Moszyńscy przenieśli się do majątku posagowego p. Joanny — słynnej z pięknego ogrodu i z pięknych okolic Berszady. Bawił tam dłuższy czas, czyniąc stąd swe ekskursje botaniczne, J. Andrzejowski, który w „Ramotach starego Detiuka o Wołyniu" wspomina obszernie i o tym dworze, i o rodzinie Moszyńskich. Dla różnego rodzaju spraw politycznych (por. mój artykuł „Łudziłem despotę...", w nr 65 „Odrodzenia"), a zapewne i handlowych, Piotr Moszyński częstym bywał gościem w Odessie i tam poznał Mickiewicza, jak świadczy o tym choćby fakt obecności jego na znanym obiedzie, wydanym na cześć poety przez liczne grono ziemian z tzw. „prowincji południowych" (M. Dubiecki w „Księdze pamiątkowej... A. Mickiewicza", Fr. Kowalski w „Pamiętniku"). Najpewniej więc znał twórca „Sonetów" i p. Moszyńską, jakkolwiek co do tego nie mamy absolutnej pewności; nie dysponujemy również żadnymi szczegółami dotyczącymi charakteru i przebiegu przypuszczalnego ich stosunku. Natomiast znana nam jest dostatecznie dobrze historia dalszego pożycia małżeńskiego samych Moszyńskich.

W lutym 1826 r. Piotr Moszyński oskarżony o współudział w spisku dekabrystów zostaje wywieziony z domu do Petersburga i po badaniach przeprowadzonych na miejscu oraz w Warszawie, osadzony w fortecy „Pietropawłowskiej", skąd po kilku latach zesłano go na Sybir. W trakcie odsiadywania kary we wspomnianej, słynnej z surowych rygorów fortecy, doznał on ze strony swej małżonki ciosu, którego do końca życia nie zdołał przeboleć. Informuje nas o tym, m. in., „Księga wspomnień" Mikołaja Malinowskiego. Dowiadujemy się stamtąd, że w czasie, gdy niektóre z Rosjanek, żon dekabrystów, udawały się razem z mężami na Syberię, Joanna Moszyńska nawiązała romans z niejakim Stanisławem Juriewiczem, oficerem rosyjskim i według innego źródła „Białorusinem" (Dmitrijew-Mamonow: „Diekabristy w zapadnoj Sibiri"). Z Juriewiczem zaznajomił właścicielkę Berszady administrator jej majątków, Józef Massalski, ten sam smutnej pamięci Massalski, który dwuznacznymi swymi zeznaniami w czasie procesu Filaretów tak bardzo całej sprawie zaszkodził. Z Juriewiczem zaprzyjaźnił się on podczas wspólnej służby wojskowej w czasie ówczesnej wojny z Turcją, po której przywiózł go do administrowanych przez się majątków. Przystojny oficer wpadł w oko p. Joannie, która, skorzystawszy z przysługujących jej wówczas jako małżonce „skazańca politycznego" praw,

wszczęła proces rozwodowy w celu poślubienia Juriewicza. Do tego rodzaju postępku doszło jeszcze żądanie przyznania jej wyłącznego prawa do wychowywania ich córki Józefy, żądanie równające się odebraniu cierpiącemu za sprawę narodową i bezgranicznie kochającemu swą jedynaczkę ojcu, tej ostatniej jego pociechy, i zagarnięciu jej pod gruntownie skompromitowane skrzydła opiekuńcze p. Moszyńskiej. Wszystko to w niezmiernie bolesny sposób dotknęło p. Piotra w jego familijnych i narodowych uczuciach, przydając jego cierpieniom jako więźnia i zesłańca nowej i znacznie dotkliwszej goryczy, a na małżonkę jego, „która przedtem była dla niego zawsze najdroższa", ściągnęło ze strony przyjaciół hr. Piotra (do jego służby dworskiej włącznie) i okolicznego ziemiaństwa gromy oburzenia i piętno hańby. Proces rozwodowy trwał niezmiernie długo i jak świadczy jeden z listów hr. Piotra do jego przyjaciela i sąsiada, pułkownika Łukasza Dobrzańskiego, przechowywany łącznie z wieloma innymi w Archiwum Miejskim w Krakowie (papiery Dobrzańskich), w roku 1838 nie był jeszcze zakończony. A tymczasem „niegodna pani Moszyńska" żyła sobie „nierządnie z Juriewiczem", jak to określał w liście swym do tegoż Dobrzańskiego Marian Piasecki, znany przyjaciel Mickiewicza, prawnik, któremu hr. Moszyński powierzył obronę swych praw.

Piszemy o tym tak obszernie, by możliwie najpełniej oświetlić te strony charakteru hr. Joanny, które uprawdopodobnić mogą przypuszczenie, że już w okresie poprzedzającym aresztowanie jej małżonka, nie kochała go, i że w roku 1825, w czasie ewentualnego pobytu w Odessie, była ona zdolna do roli mickiewiczowskiej „D. D.".

Jak tedy widzimy, postać jej w znacznej mierze odpowiada warunkom, zawartym w ustalonej przez nas „formie". Była Polką, młodą mężatką, czarowała wdziękiem i urodą. Prawdopodobieństwo przebywania w interesującym nas czasie w Odessie oraz poznania się tam z Mickiewiczem — bardzo duże. Tytuł hrabiowski, jak i stanowisko towarzyskie i społeczne jej męża, pasują doskonale tak do zajmowanych przez nią i przez „galonowego" strzeżonych apartamentów, jak i do owego „Pani", ze strony jej, gnących karki poddanych. Podobnież konspiratorska, na szeroką skalę zakrojona działalność p. Piotra tłumaczyłaby nam w zupełności owo grożące jej wówczas „niebezpieczeństwo" (sonet „Jastrząb") oraz mogłaby uprawdopodobnić ewentualny wyjazd jej wraz z hr. Piotrem do Petersburga, po powrocie z wycieczki krymskiej, a więc — na jakieś dwa miesiące przed wybuchem powstania grudniowego.

Jak łatwo zauważyć, to co wiemy o p. Joannie Moszyńskiej dotyczy wyłącznie niemal zakresu spraw sercowych i familijnych. Inne strony jej osobowości nie budziły widocznie wśród współczesnych większego zainteresowania, toteż znane nam źródła nic o nich nie mówią. Nic tedy dziwnego, że nie potrafimy odpowiedzieć na pytanie, czy p. Moszyńska miała ładny głos i czy umiała śpiewać. Żaden z poznanych przez nas dotąd szczegółów nie przemawia ani „za", ani też „przeciw" takiemu przypuszczeniu. Nie posiadamy również dotychczas dowodu, że brała ona udział w „podróży krymskiej", ale i nie możemy twierdzić, że jej tam nie było.

Dobrze — może powiedzieć ktoś, krytycznie nastawiony. Przypuśćmy nawet, że p. Moszyńska odpowiadałaby jak najdokładniej „formie", zdjętej z opiewanej przez poetę „Donny Giovanny". Jakiż jednak moglibyśmy przytoczyć dowód, że fakt taki nie jest jedynie, zabawnym zresztą, zbiegiem okoliczności, że istniały jakieś ukryte, łączące ją z Mickiewiczem nici?

Otóż naszym zdaniem jest jedna okoliczność, mogąca wskazywać na istnienie tego rodzaju nici. To fakt posiadania, właśnie przez hr. Piotra, właśnie przez byłego małżonka p. Joanny — tzw. „Albumu Moszyńskiego", to jest wspomnianego na tym miejscu niejednokrotnie albumu, zawierającego obok innych drobnych utworów Mickiewicza autografy (przeważnie pierwopisy) **wszystkich niemal wierszy natchnionych przez ową „D. D."**, z wierszem „Moja Pieszczotka", zatytułowanym tu, jak już o tym była mowa, „A la donna Giovanna", oraz z obu omówionymi wyżej elegiami na czele. Na ostatniej stronicy albumu, opisanego w swoim czasie przez prof. Gubrynowicza („Pamiętnik Tow. Lit. im. A. Mickiewicza", t. VI, str. 480—544), znajduje się własnoręczne objaśnienie właściciela albumu, treści następującej: „Album własnoręczne Adama Mickiewicza darowane mi w fortecy Petropawłowskiej w Petersburgu 1829 roku przez Maryana Piaseckiego. Piotr Moszyński".

Okoliczność, że, jak widzieliśmy, Piasecki był pełnomocnikiem i obrońcą prawnym hr. Piotra, czyni na pozór fakt powyższy odruchem całkowicie naturalnym i zrozumiałym.

Jeśli się jednak nad tym głębiej zastanowić, jeśli wziąć pod uwagę, że takiego albumu, z kilku dziesiątkami autografów dostatecznie już wówczas głośnego autora, a w dodatku bliskiego i serdecznego kolegi i przyjaciela, nie ofiarowuje się komu innemu bez jakiegoś bardzo ważnego powodu — pobudki, jakimi można by objaśnić krok Piaseckiego, (który, nawiasem mówiąc, nie wiadomo z jakiego tytułu stał się posiadaczem tak cennej pamiątki), nie wydadzą się nam już tak bardzo proste. Nasunie się nam raczej przypuszczenie, że Piotrowi Moszyńskiemu szczególnie musiało zależeć na posiadaniu owego albumu, i to być może nie tyle przez pietyzm dla młodego wieszcza, co ze względu na obchodzącą go żywo treść zawartych w albumie erotyków odeskich...

Gdyby przeto okazało się, że domysły nasze są trafne i że p. Moszyńska w samej rzeczy odegrała w życiu i w twórczości Mickiewicza rolę jego „Donny Giovanny", wyjaśniłoby nam to bez reszty zarówno fakt znalezienia się albumu w posiadaniu Moszyńskiego, jak i ów nimb tajemniczości czy też swego rodzaju dziwactwa, jakim otoczone jest niemal wszystko, co dotyczyło w owych czasach jego rodziny. Dziwaczny warunek w zapisie testamentowym działa p. Joanny; ożenienie się, po śmierci pierwszej żony, ojca hr. Piotra ze starszą siostrą swej synowej, Fryderyką Moszyńską; okoliczności towarzyszące powtórnemu wyjściu za mąż za Władysława Jelskiego, wspólnej ich teściowej (J. Andrzejowski, l. c.); zagadkowy powód całkowitego przemilczania przez herbarze (z reguły podające przede wszystkim potomków linii męskiej) i przez inne znane nam źródła faktu, że rodzice Joanny Moszyńskiej, prócz niej i prócz jej siostry Fryderyki, mieli jeszcze i syna Juliana, głośnego swego czasu w Wilnie lekarza-dobroczyńcy, zmarłego tam w połowie ubiegłego stulecia; wreszcie — brak jakiejkolwiek wzmianki w pismach i w korespondencji Mickiewicza o tak głośnej i zasłużonej, a znanej mu osobiście osobie hr. Moszyńskiego, jak i o najpewniej również mu znanej jego małżonce — wszystko to składa się na atmosferę tajemnicy, której echa zdają się pobrzmiewać w wysoce rygorystycznych warunkach, pod jakimi zgodziła się p. Lacroix wyjawić Aërowi prawdziwe nazwisko pani „D. D.".

Być może znalazłoby się ono, zanotowane gdzieś w jego papierach (A. Rządzewski zmarł w Paryżu), być może znane ono było i Władysławowi Mickiewiczowi. Kto wie, czy nie ma o nim jakiejś wzmianki w listach, pisanych do rodziny przez współtowarzysza niedoli odeskiej Mickiewicza, Franciszka Malewskiego. Poczyniliśmy w tym kierunku starania w Muzeum Mickiewicza w Paryżu, ale jak dotąd — bez rezultatu.

Jeśli wierzyć p. Lacroix, romans poety z „Donną Giovanną" był dostatecznie głośną historią w wyższych sferach towarzystwa odeskiego, w ewentualnych więc listach przedstawicieli tych sfer, pisanych do jakichś, zamieszkałych na prowincji czy też w innych miastach, ich krewnych lub znajomych, mogły się znajdować relacje, tak o samym tym romansie, jak i o krążących na ten temat plotkach. W szczególności szczegóły takie musiały się zapewne znajdować w listach głównej autorki tych plotek, wspomnianej już tu hr. Guriew. Była ona córką Piotra Tołstoja, zajmującego wówczas jakieś wyższe stanowisko administracyjne, bodaj czy nie w Moskwie. Mąż jej zaś był synem hr. Dymitra, ministra finansów za Aleksandra I, a bratem hrabiny Nesselrode. W ich więc archiwach domowych należałoby szukać listów ich krewniaków, ze szczegółami o ówczesnym życiu towarzyskim Odessy.

I jeszcze jedno źródło, jakie mogłoby może od razu wyjaśnić interesującą nas tajemnicę i wskazać, czy ową „D. D." nie była która z omówionych tu „kandydatek". To „dziennik okrętowy" jachtu, na którym odbywano uwiecznioną w „Sonetach krymskich" podróż. Jeśli dziennik taki był przez kapitana jachtu prowadzony, i w archiwach portu odeskiego do dziś dnia szczęśliwie się zachował, musiałby on m. in. zawierać i wykaz imienny wszystkich uczestników wyprawy. I gdyby w ustalonym na jego podstawie gronie wycieczkowiczów znalazła się jakaś przedstawicielka płci pięknej o imieniu „Joanny" lub „Laury" — zagadka nasza byłaby rozwiązana.

Do czasu jednak, nim jakieś nowe szczegóły nie pozwolą na jej rozwikłanie, będziemy musieli nadal, obok skrótu „D. D.", stawiać dotychczasowy znak zapytania.

Niemniej, droga do prawdy stanie się odtąd znacznie łatwiejsza do przeprowadzenia. Wytyczyliśmy tu z grubsza jej trasę i usunęliśmy z odpowiedniego terenu sporo zawadzającego gruzu. A wnioski, do jakich doprowadziły nas wszystkie powyższe rozważania, wskazywałyby być może na konieczność poddania gruntownej rewizji dotychczasowych poglądów na twórczość Mickiewicza z okresu odesko-krymskiego i na wyciągnięcie stąd odpowiednich wniosków. Przede wszystkim — na zaniechanie na przyszłość powtarzania w kółko wielu mocno przestarzałych i przeczących faktom legend i ustaleń.

Leonard Podhorski-Okołów

Zaprenumerować „ODRODZENIE"
można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą przekazu pocztowego. Prenumerata kwartalna 87 zł.
Adres administracji: Kraków, Wielopole 1

ARTUR SANDAUER

Klęska geniuszu

Bywają postaci w dziejach, o których znaczeniu dla ludzkości rozstrzyga dopiero śmierć. Kato młodszy, po dziś dzień symbol stoickiej niezłomności, zyskał wiekopomny przydomek Utyckiego dopiero na miejscu zgonu, w afrykańskim miasteczku Utyce. Za życia niezdarny polityk nieskazitelnych, lecz mocno spóźnionych zasad, który — by uchodzić za człowieka starej daty „pod spód prawie nic nie wdziewał" i — wzorem swego pradziada, Katona Starszego Cenzora — chodził stale bez koszuli, z wiecznym cytatem stoickim na ustach, z podręcznikiem moralności Panecjusza w ręku, gotów w nim szukać odpowiedzi na wszelkie aktualne zagadnienia, moralizator i nudziarz, nie do pomyślenia prawie bez okularów, okupił niedorzeczność swego życia dostojeństwem śmierci.

Cezar zwyciężał; republika ginęła: długa walka między zachowawczym senatem a zmierzającym ku jedynowładztwu stronnictwem ludowym miała się ku końcowi. W połowie pierwszego wieku przed Chr. pięciowieczna, przez klan senatorski rządzona rzeczpospolita ustępowała cesarstwu. Pompejusz już nie żył. Oblężony w afrykańskiej Utyce wraz z resztkami senatu Kato zwołał ostatnią jego sesję. Propozycję, by wyzwolić niewolników i bronić się przy ich pomocy do ostatniego tchu, odrzucił z oburzeniem jako nieprawomocną i naruszającą prawo własności. Zgodził się jedynie skierować wezwanie do właścicieli, by dobrowolnie oddali służbę do dyspozycji rządowej. Apel nie poskutkował; senatorzy woleli niewolników niż wolność. Zapewniwszy tym, którzy chcieli szukać litości Cezara, swobodne wyjście, Kato przebił się mieczem.

Tej śmierci zawdzięcza nieśmiertelność; za cesarstwa imię jego stało się zawołaniem arystokratycznej opozycji; za słowami „Stoik" i „Kato" czaił się sztylet zamachowca. Jeśli w sto lat później cesarz Nero skazał na śmierć znakomitego poetę Lukana, to — obok udziału w spisku Pizonów i zawiści zawodowej (Nero — jak wiemy — bywał poetą), kto wie, czy głównym zarzutem nie był ten, w retorycznym spiżu kuty, heksametr z Lukanowej „Farsali":

Victrix causa deis placuit, sed victa Catoni
co znaczy
Stronę zwycięzców bogowie obrali, lecz Kato — stronę pobitych.

Ta sama jednak filozofia stoicka, która za cesarstwa miała przejść do opozycji, za dawnej republiki była oficjalną doktryną warstwy rządzącej, senatu. Szanujący się Rzymianin z wyższych sfer znał jej maksymy na pamięć, zastępowały mu one religię. Ta bowiem, zawsze dość powierzchowna i formalistyczna, w tym okresie była już tylko narzędziem politycznych rozgrywek. Wyższe towarzystwo rzymskie, któremu ton na przełomie II i I wieku przed Chr. nadawała wolnomyślna rodzina Scypionów, ustaliło już dawno, że wiara ojczysta nie ma najmniejszego sensu. Uczony Grek Polibiusz, jeden z ideologów tej grupy, twierdził nawet, iż rzymską religię wymyślono na użytek tłumu, który i tak niczego poważniejszego nie zrozumie. Zgadzał się z nim zupełnie najwyższy przedstawiciel hierarchii duchownej, pontyfeks Scewola, rozróżniając w niej część filozoficzną, niedostępną, a nawet niebezpieczną dla tłumu, i tradycyjną, która posiada wartość polityczno-wychowawczą. Wypowiedź dość zagadkowa, gdyby jej nie komentowało modne ówcześnie powiedzonko: „Wróżbita na widok wróżbity nie może powstrzymać się od śmiechu".

W istocie, wróżenie czy to z lotu ptaków, czy z ziaren, czy wreszcie z wnętrzności stanowiło bodaj czy nie najistotniejszy składnik religii — tudzież polityki rzymskiej. Bez pomyślnych przepowiedni nie mogło się odbyć żadne zebranie, żadna uchwała dojść do skutku. Co więcej, na początku tej epoki wyszła, zaprojektowana przez niejakiego Rufiusza ustawa, na mocy której przewodniczący jakiemukolwiek zebraniu wyższy urzędnik mógł je rozwiązać, jeśli dostrzegał oznaki zaburzeń atmosferycznych na niebie lub politycznych na ziemi: to drugie, oczywiście, — między wierszami. Nie trudno sobie jednak wyobrazić, czym stała się ta ustawa w rękach senatu. Wyzyskując zakorzeniony w rzymskim narodzie legalizm oraz resztki religii, mógł on — w tym okresie zaciekłych walk politycznych — udaremnić jakikolwiek wysunięty przez demokratów wniosek dotyczący już to obniżki cen zboża, już to rozdawnictwa ziemi w koloniach czy wreszcie nadania praw obywatelskich szerszym masom ludności italskiej. To były wartości wychowawcze, jakich senat dopatrywał się w religii; na użytek prywatny pozostawiał sobie — stoicyzm.

Ten geo- i antropo-centryczny system, który nieruchomą ziemię umieszczał pod uważnym spojrzeniem gwiazd i boskiej opatrzności w samym środku wirującego wszechświata, propagował arystokratyczny ideał nieczułego na ból i radość, wrażliwego jedynie na obowiązek i cnotę mędrca. Był on wyznaniem wiary działaczy politycznych owej epoki: on to wychował Katonów, Brutusów, Kasjuszów, ostatnich republikanów.

Gdy jednak natchnione przezeń periody padały z mównicy rynkowej, inną religią, mniej górną i bardziej ludzką, szumiały wody Tyburu, dźwięczały kielichy w podmiejskich tawernach. Celem życia jest nie obowiązek, lecz przyjemność. Człowiek, zarówno jak wszechświat, jest dziełem przypadku. Spadające w nieskończoność atomy w pewnym, absolutnie nieprzewidzianym momencie, w pewnym, absolutnie nieokreślonym miejscu zbaczają z drogi, łączą się, tworzą niezliczone światy i dusze. Nie ma powodu, aby przeceniać wartość owego przypadkowego zlepku atomów, jakim jest istota ludzka, żyjąca na owym przypadkowym zlepku atomów, jakim jest ziemia. Czczym wymysłem jest opatrzność: bogowie — nawet jeśli istnieją — nie troszczą się o porzuconego w jednym z zaułków wszechświata człowieka. Jakież obowiązki ma on wobec świata, który nie ma żadnych wobec niego? Prześliznąć się niepostrzeżenie ku śmierci — bez bólu, jeśli to możliwe, z przyjemnością, jeśli się nadarzy, — oto jedyny cel przypadkowego posiadacza daru życia, jeśli wyznaje naukę boskiego Epikura.

Gdy więc stoicyzm za cesarstwa przeszedł do opozycji, to głoszący polityczną nieinterwencję epikureizm stał się wówczas, jeśli nie prorządowy, to w każdym razie nieszkodliwy. Toteż cieszył się szczególnym faworem władców. Za panowania Augusta politycy, jak Mecenas, pisarze, jak Wergili, Horacy, a nawet niezbyt głęboko zastanawiający się Owidiusz, śpieszyli na wyprzodki z epikurejskimi deklaracjami ideowymi. Zwłaszcza Horacy, były oficer armii republikańskiej, a więc politycznie dość skompromitowany, nie ustawał w kpinach ze stoików, tudzież w oświadczeniach, że jemu wszystko jedno, że jego chata z kraju i że w ogóle człowiekowi niewiele do życia potrzeba; co, przetłumaczone na język polityczny, prawdopodobnie znaczyło: „Ideałom republikańskim nie hołduję".

Inaczej za czasów rzeczypospolitej, kiedy to epikureizm był nie tylko źle widziany, ale i dość ostro atakowany przez społecznych aktywistów. Toteż zagadką wydaje się powstały w latach 65—55 przed Chr. i to w kołach najwyższej arystokracji, poemat epikurejski, antyreligijny i materialistyczny pt. „Zagadka wszechświata" (De natura rerum), którego autorem był niejaki Tytus Lukrecjusz Karus (95—55 przed Chr.):

Gdy sromotnie na ziemi okuty w kajdany
Leżał duch ludzki, stopą religii zdeptany,
Której twarz z wszystkich naraz horyzontów, grożąc,
Wyłaniała się, wzrokiem ród śmiertelny mrożąc,
Pierwszy ów Grek w niej utkwił oczy nieulękłe,
Których ni bojaźń boża ni gromem rozpękłe
Niebiosa nie przerażą, lecz tym bardziej myśli
Natężył, by granicę, wytyczoną ściśle
Przez naturę, przekroczyć; a więc myśl skrzydlata
Przedarła się za mury płonące wszechświata,
By wtargnąć w nieskończoność...

Ten urywek z inwokacji, poświęcony mistrzowi poety, Epikurowi, budzi zdziwienie zarówno swym stylem, jak i treścią. Jego nieporadność i formalną szorstkość, tak różną od miodopłynnej harmonii późniejszych klasyków rzymskich, należy — być może — przypisać tłumaczeniu. Lecz nawet dosłowny tekst łaciński: „życie ludzkie leżało na oczach wszystkich sromotnie na ziemi pod ciężkim uciskiem religii, która ukazywała twarz od strony widnokręgu" — daleki jest od potoczystej gładkości Wergiliusza, Horacego, by nie mówić o Owidym: żaden z nich nie zdobyłby się na równie śmiałą i równie inkoherentną alegorię. Przy mniejszym polorze urywek ten ma jednak więcej żaru i zgoła intelektualnej pasji, która sprawia, iż na oko skłonni bylibyśmy umieścić go w późnym Oświeceniu, na przełomie XVIII i XIX stulecia. Treść jego nie raziłaby w utworze jakiegoś encyklopedysty. Stwierdzamy to ze zdziwieniem: jeśli bowiem wojujący ateizm pisarzy Oświecenia wynikał z opozycji wobec starego reżymu i niedawnych religijnych prześladowań, to oficjalny kult w epoce Lukrecjusza zbyt słabym był przeciwnikiem, aby domagać się aż tak gwałtownego — w sześciu księgach — ataku.

Starożytność nie znała inkwizycji; toteż obcy był jej ruch bezbożniczy. Czyżby jednak przyczyn Lukrecjuszowej kampanii nie należało szukać — zamiast w już istniejącej nietolerancji — w tej, która miała nadejść? Zjawiska historyczne, nim dojrzeją do spełnienia, nim wcielą się w datę lub w bitwę, promieniują długo z przeszłości, nurtują w wieczornych gawędach, w jarmarcznych kłótniach, w niezamierzonych rytuałach, w setkach skazanych na przeoczenie szczegółów codzienności. Tron Jowisza nie był już groźny za czasów Lukrecjusza; nie był nim

jeszcze krzyż Chrystusowy. Lecz już z wielkiej wylęgarni religij, jaką był Wschód starożytny, ćma sensacyjnych i dziwacznych bóstw ruszała na podbój Rzymu: obok frygijskiej Cybeli — krwawa Ma z Kapadocji, obok Matki Kreteńskiej — Izyda i Ozyrys płynęli niewstrzymanie wraz z transportami niewolników na Zachód, zarażali grozą mrowie wielkomiejskie, nawiedzali sny przesądnych kobiet, ba, nawet dyktatora Sulli. Podczas powstania gladiatorów sycylijskich pociski zbuntowanych niosły wyryte tajemne nazwiska fetyszów; w ich imieniu niewolniczy wodzowie dokonywali cudów, Eunus ział ogniem, Atenion czytał w gwiazdach. Nie był nieczuły na to niebezpieczeństwo i senat: już w 139 roku wróżbici chaldejscy otrzymali rozkaz natychmiastowego opuszczenia stolicy. W przededniu rewolucji, w okresie zamachów stanu, wojen i powstań, krachów finansowych i rosnącej drożyzny — wzrastał również i mistycyzm, ogarniając coraz szersze masy, by wreszcie z nadejściem chrześcijaństwa wydobyć się na powierzchnię dziejów.

Świadek obumierania oficjalnej religii i powstawania nowej, Lukrecjusz zwalcza przede wszystkim tę drugą, jeszcze nienarodzoną, przejawiającą się jednak już w kulcie Cybeli, w zabobonach ludowych. Nie wiemy, czy zdawał sobie sprawę z nieuchronnej klęski swych poglądów: niemniej jednak ateizm jego daleki jest od tryumfalnej pewności zwycięstwa, cechującej np. pisarzy Oświecenia. Kiedy pisze o sobie: „Szczęśliwy, kto zamieszkał świątynie pogodne, wzniesione mędrców nauką", skłonni jesteśmy tę równowagę i spokój uważać raczej za niedosięgły ideał, niż za rzeczywisty stan jego ducha. Starożytna legenda o jego dobrowolnej śmierci, prawdziwa czy fałszywa, dowodzi w każdym razie, jak ponure wrażenie wywarła na współczesnych ta, pretendująca do filozoficznej pogody, książka.

Przeczucie zbliżających się kosmicznych katastrof, kiedy to „wyrwana z posad ziemia runie w otchłań i nastąpi ogólny chaos wszechrzeczy", przekonanie o rosnącym wciąż rozpadzie wszechświata, wszystko to nadaje dziełu Lukrecjuszowemu ów ton beznadziejny, tak odmienny od pogodnego sybarytyzmu epikurejczyków. Czy to, że pisząc swój podręcznik materializmu, Lukrecjusz czuł, że broni sprawy przegranej (antycypacje jego nie mogły przecie sięgać aż po wiek XVIII), czy też, że ówczesna niewytłumaczalność najprostszych zjawisk fizycznych zostawiała zabobonowi znacznie szersze niż dziś pole działania, dość, że argumenty, jakimi Lukrecjusz popiera swój światopogląd, nie wydają się nam dostatecznie przekonywające. Gdybyśmy choć na chwilę potrafili, abstrahując od odkryć nowożytnej nauki, rozumieć ze świata równie mało, jak starożytni, i wskrzesić w sobie ich niewiedzę, to wiara w cudowność zdarzeń byłaby nam o wiele łatwiejsza, niż sztuczne, a czasem niedorzeczne wyjaśnienia fizykalne, jakie nam podsuwa Lukrecjusz.

Ateizm, w owym czasie wymagał aktu wiary bardziej jeszcze niż religia. Toteż dzisiejszy, o wiedzę 2 tysiącleci bogatszy czytelnik nie bez uśmiechu śledzi na wpół świadome matactwa poety, który odrzuca najprostsze wyjaśnienie, jeśli podejrzewa, iż otwiera ono drogę ku religijnej interpretacji i zaprzecza oczywistości, byle zachować całość systemu, dając tym dowód zarówno złej wiary, jak i godnej podziwu konsekwencji ideologicznej. W 18 wieków później inny materialista, Wolter, w obawie przed potwierdzeniem biblijnej legendy o potopie kpił z odkrytych przez uczonych na szczycie alpejskim rybich skamielin, twierdząc, iż są to pozostałości po uczcie jakichś turystów. Dziś nie podzielamy wolteriańskich antyreligijnych fobij; wiemy, iż prawdziwość legendy o potopie w niczym nie utwierdza historycznego autorytetu Biblii.

Podobnie Lukrecjusz atakuje tezę Anaksagorasa, jakoby słońce było w rzeczywistości większe niż się wydaje: musiałoby bowiem w takim razie, w myśl fizyki starożytnej (według której wszystko co ciężkie spada na dół), runąć na ziemię. Otóż Lukrecjusz obawia się, by uporczywe trwanie olbrzymiej kuli słonecznej w tak niewiarygodnej pozycji nie nasunęło okazji do nadprzyrodzonych komentarzy. Toteż, aby ich uniknąć, rzuca się sam w niemniej ryzykowne spekulacje fizykalne: twierdzi np., iż przedmioty nie maleją w odległości, że prawdopodobnie bryła słoneczna nie istnieje w ogóle, że atomy ognia, które przez noc zdążyły się skupić pod ziemią, wybuchają co dzień wspólnym płomieniem o świcie; wizja jednorazowo rozkwitających słońc, która przynosi może zaszczyt poecie, lecz na pewno nie naukowcowi.

Gdzie indziej znów zastanawia się, czy nogi mamy do chodzenia czy też, odwrotnie, chodzimy dlatego, że przypadkiem posiadamy odpowiednie organy. Tę, na pozór nieprzejednaną dyskusję między teleologią a przyczynowością, załatwioną ugodowo dopiero w wieku XIX przez teorię ewolucji, Lukrecjusz (powodowany zapewne obawą, że dopuszczenie jakiejkolwiek celowości pociągnie za sobą konieczność ingerencji boskiej) rozstrzyga w sensie jednostronnie genetycznym: twierdzi, że narządy zrodziły odpowiednie funkcje, widzimy np., gdyż trafzdarzył, że mamy oczy. Przykład ten dowodzi m. in., jak często najbardziej sprzeczne poglądy tracą w ciągu wieków swą bezkompromisowość, jak rozwój polega na syntezach: przeciwieństwa absolutnego nie ma, oba zdania stają się z czasem równie prawdziwe (lub fałszywe). Podobnie, roztrząsając zagadnienie, czy wszechświat jest ograniczony czy też nieskończony, materialista Lukrecjusz wybiera oczywiście tę drugą alternatywę. Dla ludzi jednak epoki einsteinowskiej znikła sprzeczność tych rozwiązań: czterowymiarowa sfera czasoprzestrzenna, w jakiej żyją, jakkolwiek skończona, nie jest ograniczona niczym prócz siebie.

Decyzja wieków nie zawsze jednak bywa ugodowa: czasem odrzuca zdecydowanie, jeśli nie tezy Lukrecjusza, to w każdym razie ich argumentację. Przyznajemy np. dzisiaj wszyscy, że szybkość światła jest bardzo wielka; wiemy nawet dokładnie, jaka. Ale kiedy, chcąc ją unaocznić, Lukrecjusz podnosi, jak prędko gwiazdy, ledwo rozbłysły na niebie, odbijają się w zwierciedle źródeł, dowód ten, jakkolwiek poetyczny, pozostawia nas niewzruszonymi: wiemy bowiem, że blask gwiezdny zużywa tyleż czasu, by dotrzeć do naszej źrenicy, ile — by zalśnić na powierzchni wód.

Równie mało przekonywa nas Lukrecjusz, gdy fazy księżyca wyprowadza z jego dwukolorowości: jeśli miesiąc maleje, to — twierdzi — dlatego, że obraca się ku nam swą czarną stroną; gdy zawieszenie ziemi w przestworzach tłumaczy ich przyzwyczajeniem do tego ciężaru, podobnym do znieczulenia ciała na brzemię noszonych od urodzenia członków, gdy wzrok objaśnia prądem atomów, odrywającym się od rzeczy, głos — podobnym prądem idącym z gardła; gdy sny wywodzi z takich właśnie oddzielonych od przedmiotów warstewek, które, tułając się bezpańsko w przestrzeni, łączą się i zaczepiają nawzajem niby pajęczyna, by niepokoić nasze uśpione zmysły: Centaury — twierdzi np. — powstały z zetknięcia widomej błonki konia z wędrownym zwidem człowieka.

W tym chaosie pseudonaukowych teoryj zdarzają się tu i ówdzie niespodziewane błyski, antycypacje przyszłych odkryć. „Kiedy jeden obraz znika, a pojawia się drugi w nieco odmiennej formie, to wydaje się nam, że to pierwszy zmienia swą pozycję, zwłaszcza, że następstwo ich jest niezmiernie szybkie" (IV, 770—772). Przecieramy oczy. Czyżby teoria filmu? Starożytny poprzednik braci Lumière? Nie, to tylko dalszy ciąg niedorzecznej teorii snów. Aby wyjaśnić zmienność sennych widzeń, Lukrecjusz zakłada, że nieustanny potok owych warstewek atomowych przez szybkość swego następstwa wywołuje złudzenie ruchu. Ta groteskowa teoria psychologiczna znalazła dziś nieoczekiwane urzeczywistnienie na ekranie. Gdzie indziej, wyprzedzając teorię walki o byt, mówi o wymieraniu pierwotnych zwierząt: „Wiele gatunków wyginęło, gdyż nie umiały dbać o swe potomstwo. Te, które po dziś dzień istnieją, utrzymały się przy życiu dzięki nadwyżce sił, sprytu lub szybkości. Gdzie indziej wreszcie trąca o teorię dziedziczności: „Zdarza się, iż wnuki przypominają dziadów lub nawet praszczurów. Pochodzi to stąd, że rodzice noszą w ciele atomy (geny?), które ojcowie przekazali ojcom od początku pokoleń".

Jakkolwiek więc olbrzymie partie lukrecjuszowego dzieła są dziś czytelne tylko dla specjalistów lub zbieraczy ciekawostek, jakkolwiek Wergili czy Horacy są o całe niebo doskonalsi i bardziej dostępni, to wśród nierównej i chaotycznej jałowizny zdarzają się tu zakątki niespotykanej gdzieindziej piękności i głębi. Któryż z późniejszych klasyków rzymskich potrafiłby zilustrować twierdzenie, że na nieruchomość wielkich ciał składa się drganie milionów niewidzialnych cząsteczek, — takim oto przykładem?

Kiedy ogromne oddziały napełnią równiny zamętem,
Rozgrywając na polach pozornej wojny teatrum,
Bije blask pod niebiosa i cała ziemia dokoła
Ogniem pancernym się pali i grzmi pod stopami piechoty...
JEST JEDNAK MIEJSCE W GÓRACH ODLEGŁYCH, SKĄD BLASK ÓW I ZAMĘT WYDAJE SIĘ NIERUCHOMYM POSTOJEM ŚWIATŁA NA POLU.

Któż z jego szczęśliwszych następców potrafiłby nagłe objawienie się prawdziwego charakteru człowieka oddać takim obrazem: „maski spadają, zostaje rzecz"; lub określić istotę kamienia: „Gdy dotykamy powierzchni, czujemy twardość dogłębną"?

Nieprześcignione jednak — nawet przez nowożytnych — są wypowiedzi Lukrecjusza na — najmniej podległy kaprysom czasu — temat miłości. Jej to myślał pierwotnie poświęcić całe dzieło: dowodzi tego początek, zawierający niezrównaną inwokację do Wenus. Niestety zamiar ten odmienił i poemat poświęcił tylko wszechświatu, sprawom erotycznym pozostawiając końcowy urywek księgi czwartej. Mimo nieznacznych rozmiarów stanowi on jednak ośrodek utworu: rzuca bowiem nowe, zgoła nieoczekiwane światło na ukryte dotąd dla nas strony jego światopoglądu.

Lukrecjuszowa teoria miłości wywodzi się z niewiary w możliwość szczęścia: jego epikureizm jest nauką nie pogodnej, jak u Horacego, lecz gorzkiej rezygnacji. „Z samego źródła rozkoszy — pisze swym wspaniale chaotycznym językiem — wstaje coś gorzkiego, co dławi pośród kwiatów" (Surgit amari aliquid...). „Toteż należy wystrzegać się miłości, a szukać miłostek". „Jeśli osoba ukochana jest nieosiągalna — mówi czyniąc jak gdyby osobiste wyznania — to pozostaje nam jednak jej obraz i imię słodkie, które brzmi w pamięci. Lecz — dodaje z nagłą decyzją — należy unikać owych podniet, myśl skierować gdzie indziej: zebranym zaś w ciele wigorem obdarzyć pierwsze lepsze ciało, a nie gromadzić go, trwając uparcie przy jednym... Wrzód bowiem jątrzy się i pogłębia, szał wzrasta, boleść się wzmaga, jeśli dawnych ran nie zaleczysz nowymi, a nowych — miłością sprzedajną".

Nie tylko jednak nieszczęśliwa miłość, lecz każda — odwzajemniona lub nie — nosi w sobie — według Lukrecjusza, jak w 20 wieków później, według Prousta — zarodek własnej klęski. Istotę jej bowiem stanowi **nienasycenie.** „Jest to jedyna rzecz, której pożądanie wzrasta w miarę posiadania. Pokarm lub napój, przyjęty przez ciało, zaspokaja jego potrzeby, z twarzy natomiast człowieczej czy z ciała nic wchłonąć nie można — prócz mdłych obrazów. Marna pociecha". Z tej niemożności zaspokojenia wynika chęć zniszczenia partnera, zasadnicza — według Lukrecjusza — cecha miłości. „Rozkosz nie jest rzeczą czystą: istnieją w niej bowiem podniety, które każą zadawać ból właśnie temu, co jest jej przyczyną". Lecz i te próby unicestwienia drugiej osoby są daremne. „Chciwie łącząc ciała i śliny, dyszą w siebie, zębami wgryzłszy się w usta. Na próżno, gdyż nie mogą niczego wyrwać z ciała ukochanej osoby, błądząc po nim niespokojnymi rękoma ani przeniknąć się nawzajem i sczeznąć ciałem w ciele, choć to właśnie wydaje się właściwym celem ich zmagań". Lukrecjusz pozostanie na długie wieki jedynym piewcą pierwiastków sadystycznych w miłości: następców znajdzie dopiero w Baudelairze i Barbeyu d'Aurevilly.

Wszelkie dążenie ludzkie jest — według Lukrecjusza — z góry skazane na niepowodzenie. Nic tedy dziwnego, że współcześni egzystencjaliści, głoszący nieadekwatność człowieka ze światem, widzą w nim swego prekursora. (Robert Campbell: „Jean-Paul Sartre ou une littérature philosophique"). W swej teorii miłości wykracza on nie tylko poza epikureizm, lecz poza wszelką myśl starożytną. Jeśli bowiem założeniem wszystkich antycznych systemów była wiara w zgodność człowieka z naturą i w osiągalność szczęścia przez stosowanie się do jej, różnie przez różnych filozofów pojmowanych nakazów, to w Lukrecjuszu po raz pierwszy to przekonanie o harmonii sił ludzkich i przyrody załamuje się. Możemy się w tym dopatrywać antycypacji chrześcijaństwa. Jakkolwiek by było, tam, gdzie nie przemawia przezeń założony z góry epikureizm, obrazy jego, przenośnie, oddzielne powiedzenia głoszą tragiczny pogląd, że życie ludzkie jest w swej istocie klęską.

Było nią w każdym razie jego życie osobiste, jeśli — jak zdaje się wynikać z jego wypowiedzi lirycznych — jedyny cel jego stanowiło stworzenie poematu, który by był równocześnie summą poetycką i filozoficzną. Zamiar ten jest bowiem w swej istocie niewykonalny. Wszelka sztuka jest dochodzeniem, raczej niż dojściem, drogą raczej niż celem. Utwory, będące ekspozycją z góry przyjętych światopoglądów, zbyt łatwo popadają w geometryczny schematyzm: nie uniknął tego niebezpieczeństwa Lukrecjusz, jak nie uniknął go częściowo i Dante.

Tylko tam, gdzie poeta rzymski wykracza poza system, gdzie przestaje być epikurejczykiem i zaprzecza samemu sobie, osiąga szczyty swego geniuszu. „Zagadka wszechświata" w obecnym stanie jest gigantyczną ruiną, której posępny majestat świadczy o rozmiarach poniesionej na tym miejscu — klęski.

Artur Sandauer

MALARSTWO POLSKIE

PIOTR MICHAŁOWSKI (1800—1855) **Amazonka,** olej

Obraz „Amazonka" (córka artysty?) pochodzi z epoki romantyzmu (roku około 1845); utrzymany w chłodnej, czarno-niebieskawej tonacji.

Tom wierszy J. A. Frasika

Nakładem Oddziału Wiejskiego ZZLP ukaże się zbiór J. A. Frasika „Urodzony w źdźble". Wyjmujemy z niego dwa utwory.

POEZJA I PRACA

Nad strumieniem muzyka:
gałązek wiotki śpiew, chabinek zapach,
dzwonienie jesiennego strumyka,
nuty wiatru rosnącego w trawach.

A gdy ten obraz odbije woda,
ujrzysz na dnie czub nachylonych wierzbin —
i, jakby z fali, jakby z głębin,
brzoza, białobrzezina, panna młoda.

Nad wodą chłodną schylone,
strumieniem ich obraz płynie drzewny,
potrzeba: — tej na miotły brzozowe śpiewnej,
tej na fujarki (poetom) i na koszyki plecione.

ŚCIEŻYNKA

Usnął wieczór. Brzozy zaraz odjadą w ogród,
gdy śpiewa w wiankach mgieł ścieżynka:
rano szkliste i sine od błękitnego chłodu,
wieczór, śpiewaniem wiatru, gra w olszynkach.

Biała panienko, brzozo, ogrodu tego piastunko,
sikoreczkom i ziębom pilit na gałązkach.
Wiatr polom, pola ogrodom — wiatr śnieży [cichutko:
zimo, zimo jesienna, jak narty, piosenko wąska.

W PRACOWNIACH PISARZY I UCZONYCH*)

Ankieta „Odrodzenia"

Władysław Bodnicki: Tuż przed wojną przygotowałem do druku tom wierszy, wojna uniemożliwiła mi wydanie go. Podczas wojny napisałem powieść historyczną na temat trzeciej wyprawy krzyżowej. Nie starałem się nigdzie o wydanie, gdyż uważałem, że w pierwszej turze powinny być drukowane książki bardziej potrzebne i poruszające bardziej aktualne tematy.

W pierwszym roku powojennym napisałem tragikomedię o Molierze, która ma być wystawiona w teatrze katowickim i w jednym z teatrów krakowskich. Ten rodzaj twórczości zdaje mi się najbardziej odpowiadać.

Obecnie ukończyłem dramat o Kościuszce, który dopiero zacznę „wprowadzać w świat".

Jan Brzechwa: Wyznaję z poważnym zażenowaniem, że w ciągu bieżącego roku książek moich, jak na stan papieru w naszym kraju, ukaże się zbyt wiele. Z literatury tzw. dziecięcej „Czytelnik" wydaje mi bajkę wierszem pt. „Opowiedział dzięcioł sowie" z ilustracjami małżonków Lipińskich. Wydawnictwo „Okaes" kończy druk fantastycznej powieści prozą „Akademia pana Kleksa" z pięknymi ilustracjami Szancera. „Książka" wydaje z ilustracjami tegoż malarza zbiór fraszek dla dzieci pt. „Na wyspach Bergamutach". W wydawnictwie Kuthana ukażą się „Ptasie plotki" i „Za króla Jelonka". W druku jest również poemat wojenny „Opacz". Prawdopodobnie w tym jeszcze roku firma „Gebethner i Wolff" wypuści kilkusetstronicową pracę moją z zakresu prawa autorskiego, a spółdzielnia „Książka" zakupiony zbiór satyr. Jeśli chodzi o zamierzenia moje na przyszłość, to postanowiłem, kierując się galanterią wobec dam, a zwłaszcza wobec pani Kuliczkowskiej, zaniechać dalszego pisania dla dzieci i złamać tę część mego pióra. Od pewnego czasu, natomiast, pracuję nad sztuką teatralną i nad tomem nowel, co jednak z tego wyniknie — trudno przewidzieć. Ponadto, związany umową z Kuthanem będę musiał zgodzić się, acz niechętnie, na wydanie zbioru wierszy lirycznych, ale obiecuję postarać się, aby nastąpiło to możliwie jak najpóźniej. Wreszcie, jeśli mi siły dopiszą, przyjmę propozycję „Czytelnika" i zabiorę się do tłumaczenia wierszy Marszaka, które ogromnie lubię.

Tibor Csorba: Po powrocie do Polski (do wyjazdu byłem zmuszony przez okupację niemiecką) wykańczam książki, które stać się mogą podstawowymi „narzędziami" współpracy kulturalnej polsko-węgierskiej: 1) podręcznik do nauki języka węgierskiego (przerobiłem go do trzeciego wydania z Jerzym Kempfem); 2) antologię poezji węgierskiej w języku polskim, którą uzgadniam z polskim Kołem Literackim przy N. I. W. Prace te mogłyby już iść do druku.

Uzupełniam źródłami polskimi większą pracę „Humaniści na dworze ostatnich Jagiellonów i Zapolyów". Dużo materiału spodziewam się znaleźć w Krakowie i na Opolszczyźnie. Nową moją pracą są badania nad uczniami węgierskimi na Uniwersytecie Krakowskim w XV i XVI wieku.

Z czasów wojny 39 roku mam przygotowane do druku wspomnienia swoje i żony pod tytułem „Huczą syreny", którymi pragnąłbym zainteresować wydawcę. Cenzura węgierska w 1940 roku nie pozwoliła na wydrukowanie tej książki.

Żona moja Helena Miller-Csorbowa, z którą razem wiele pracuję naukowo, opracowuje studium socjologiczne „Druga ojczyzna", oparte na wypowiedziach uchodźców polskich na Węgrzech z lat 1939—1945.

Maria Czerkawska: W najbliższym czasie nie wydaję, poza małym tomikiem wierszyków dla dzieci, żadnej książki. Na jesień przygotowuję bajeczki. Chciałabym także zebrać i uporządkować szkice wierszy z czasów okupacji. Przeciążona wieloletnią pracą zarobkową z dodatkiem koniecznych zajęć domowych, kreśliłam urywki myśli i wrażeń, jak najkrótszy notatnik. Może uda się, przesądzać trudno, rozszerzyć go i zamknąć w pewną całość — ale czy uda się znaleźć nakładcę?

Wiktoria Nessel-Zaleska: 1) Wydaję zbiór bajek „Czary w pokoju dzieci". 2) Piszę książkę dla młodzieży „Szkoła i ja". 3) Opracowuję drugie wydanie książki „W poszukiwaniu skarbów ziemi" (wydawnictwo Gieszczykiewicza w Krakowie). 4) Przygotowuję pracę doktorską na temat „Psychologia bajki polskiej".

Wanda Kragen: W pierwszym roku okupacji wykończyłam przekład książki amerykańskiego autora Irvinga Stone'a pod tyt. „Życie w namiętności" (monografia Van Gogha). Przekład ten jest niemal gotowy do druku; ostatnie rozdziały czekają na nowy egzemplarz oryginału, ponieważ mój przepadł wraz z całą biblioteką.

Opracowałam wówczas również „Kronikę dni wrześniowych", pamiętnych dni obrony Warszawy. Z ich ducha wzniósł się i rozwinął nad stolicą sztandar bohaterstwa, który powiewał nad nią dumnie w latach niewoli, aby ostatnim, tragicznym i daremnym błyskiem rozżagwić się w powstaniu. „Kronikę" złożyłam w „Czytelniku" tzw. krakowskim i mam nadzieję, że zostanie wydana.

W ostatnim roku okupacji na tle przeżyć własnych — były to przeżycia b. wielu ludzi — powstała praca, której chciałam zrazu dać tytuł: „Anglicy przychodzą za późno". Ale, jeśli ukaże się w druku, nazwę tę książkę po prostu „Dni powszednie". Z przeżyć własnych wysnuł się również pomysł sztuki teatralnej „Jeniec". Czy zdołam w najbliższej przyszłości pomysł ten zrealizować, wątpię; publicystyka i mus doraźnego zarobkowania absorbują nie tylko czas, ale także uwagę i myśl.

Tadeusz Kwiatkowski: W czasie wojny napisałem powieść „Lunapark", której obecnie wydawcy boją się jak ognia, ponieważ nie ma nic wspólnego z lansowanym prawie oficjalnie realizmem społecznym. Wydawcy zaś chcą być jak najbardziej lojalni i zarazem pewni, że książka zostanie zakwalifikowana przez jakąś tam komisję w ramach świeżo uchwalonej ustawy bibliotecznej. Albowiem w sferach wydawniczych od wieków nic się nie zmienia. Powieść ta czytana w rękopisie ma wielu zwolenników i tyluż przeciwników. Prócz tego napisałem dwie sztuki teatralne, z których jedna nigdy nie ujrzy światła kinkietów, ponieważ jest niedobra. Obecnie pracuję nad dramatem, którego akcja rozgrywa się we wrześniu 1939 r. Dramat ten przedstawia konflikt dwóch pokoleń — reprezentanta Polski przedwrześniowej, oficera zawodowego i młodego podchorążego wychowanego w szkole sanacyjnej, który dopiero w czasie klęski wrześniowej poznaje tragiczną politykę ojców. Jest to więc problem ideowy młodego pokolenia, pokolenia tragicznego, dojrzewającego w latach terroru i niewoli niemieckiej. Jednocześnie przygotowuję powieść, zdaje się też nie programowo realistyczną, pt. „Analfabeci". Będzie to historia konspiracji w małym prowincjonalnym mieście. Głównym tematem jest wykonanie wyroku na Polaku, urzędniku w instytucji niemieckiej, który sypie. Myślę też nad zebraniem w jakąś całość kilku opowiadań napisanych w czasie wojny. Wiele innych rzeczy nie odpowiada już moim wymaganiom pisarskim i pójdzie do kosza. Tyle.

Juliusz Kydryński: Nawał zajęć codziennych nie pozwolił mi dotychczas zająć się wydaniem powieści satyrycznej „Korek na fali" (napisanej w czasie okupacji), ani przygotowaniem do druku tomu opowiadań wojennych, objętych wspólnym tytułem „Biała noc". Zajmę się tym natychmiast, jak tylko okoliczności na to mi pozwolą. W najbliższych tygodniach powinienem również ukończyć trzyaktową sztukę współczesną, w której kładę nacisk na pewne — interesujące mnie w tej chwili — problemy psychologiczne i społeczne. Nie wiem jeszcze, jak ta rzecz będzie się nazywała, ani czy rzeczywiście ukończę ją w najbliższych tygodniach. Może to będą miesiące.

Zbigniew Mitzner: 1) Książki wydaję i mam zamiar wydawać ich coraz więcej. Chciałbym w bieżącym roku wydać ich z pięćdziesiąt. Mowa tu oczywiście o książkach cudzych, którymi zajmuję się jako kierownik wydziału wydawniczego spółdzielni „Wiedza".

2) Nad czym pracuję? Przede wszystkim nad „Robotnikiem", którego redakcję powierzono mi niedawno. Chciałbym, by było to dobre pismo, godne swojej historii. To wraz z „Wiedzą" zjada mi czas wszystkich dni i nocy. Dzięki temu zarzuciłem miłą współpracę z „Kuźnicą" i rzadziej pisuję nawet do rodzinnych „Szpilek". A w związku z tym pozostaje mi tylko częsta publicystyka w „Robotniku". Przy sposobności zwracam uwagę na wysiłki nad zrobieniem w „Robotniku" dobrego dodatku literackiego.

3) Moje plany pisarskie ostatnio obracają się więc przede wszystkim wokół pracy nad zwycięstwem demokratycznego bloku wyborczego i nad wyjaśnianiem ludziom kilku rzeczy rozsądnych. Poza tym leżą zgromadzone w czasie okupacji materiały do napisania książki o Mochnackim. I wreszcie mam plan opracowania pewnego większego wyboru satyrycznego, obszerniejszego znacznie niż „Pożegnanie z Hitlerem".

Feliks Płażek: Niebawem ma się ukazać tom prozy „Jasny krąg". Będzie to pierwsza moja książka pisaną prozą i nie w formie dramatycznej. Poza tym chciałbym wydać ponownie (wyczerpaną już) „Ifigenię" razem z „Alkestis" napisaną przed wielu laty, a teraz podczas wojny gruntownie przerobioną; temat obu utworów, jak i częściowo tok akcji jest wzięty z tragedyj Eurypidesa, dlatego oba winny się ukazać razem.

Plany na przyszłość? — Miałbym jeszcze niejedno do powiedzenia, ale —

W ostatnich szesnastu latach ogłosiłem trzy sztuki: „Napięty łuk", „Zburzenie Trebizondy" i „Topór". Kilka teatrów w różnych miastach w Polsce utwory te przyjęło do wystawienia, lecz realizacji dotąd doczekał się tylko „Topór" i to jednorazowo, bez dekoracji i nie przez zawodowych aktorów. (Sądzę, że te trzy dramaty, mimo pozorów „nieaktualności", znalazłyby i dziś na scenie żywy oddźwięk). Piszę prawie wyłącznie rzeczy przeznaczone dla sceny. Nie chcę być autorem „dramatów książkowych", tego dziwoląga, o którego szkodliwości rozpisywałem się już nieraz. Dlatego na razie milczę. (Co prawda czasu już mi chyba nie zostaje zbyt wiele: mam lat 64).

Artur Sandauer: 1) W najbliższym czasie ukaże się nakładem Spółdzielni Wydawniczej „Książka" tom moich nowel z okresu okupacji, obejmujący „Śmierć liberała", „Noc praworządności", „Sprawę godności" i inne jeszcze nienapisane. 2) Przygotowuję do druku tom szkiców starożytnych (częściowo opublikowanych w „Odrodzeniu" i w „Twórczości"). 3) Noszę się z zamiarem napisania studiów o Valérym, Prouście, Szekspirze, przeprowadzonych według metody, której pierwszym zastosowaniem była „Filozofia Leśmiana". Chciałbym porzucić krytykę literacką i zająć się czymkolwiek bardziej zabawnym. Dlaczegóż by np. nie napisać komedii?

Bernard Szarlitt: Wydaję monografię Ludomira Różyckiego. Przygotowuję tom pt. „Niesamowite opowieści" oraz tom pt. „Parafrazy historyczne".

Lilian Seymour-Tułasiewicz: W najbliższym czasie wydaję za granicą moją czwartą z rzędu książkę (w języku angielskim). Jest to powieść o niemieckiej okupacji w Polsce.

W tych dniach debiutuję w Krakowie moją pierwszą powieścią, pisaną po polsku, p. t. „Dag, córka Kasi". Akcja jej toczy się w Ameryce przeważnie w środowisku polskiej emigracji, stąd książka posiada poniekąd charakter informacyjny dla rodaków ze „starego kraju". Powieść tę napisałam w ciągu kilku tygodni; pewien życzliwy mi przyjaciel (lekarz chorób wenerycznych, ale zna się na literaturze) powiedział mi o niej: „Jeżeli wyjeżdzasz z Polski na stałe, możesz powieść wydać, o ile oczywiście znajdziesz wydawcę". Powyższa opinia (którą i sama podzielam) kazała mi się zastanowić nad tym, co mogłabym uczynić dla literatury polskiej, aby jej dać niejakie zadośćuczynienie za moją powieść. Radziłam się ludzi mądrych, którzy orzekli: „tłumaczyć utwory dobrych polskich pisarzy, albowiem poznałaś ducha naszego języka".

Dlatego w moich planach na przyszłość mam kilka wybitnych pozycyj współczesnych pisarzy polskich, które pragnę przełożyć na język angielski. Sądzę, że w ten sposób przysłużę się najlepiej literaturze polskiej. Osobiście wolałabym zostać drugim Conradem, ale skoro Bóg odmówił mi talentu, pozostanę przy tłumaczeniach. Niebawem ukaże się w Nowym Jorku „Grypa szaleje w Naprawie" Kurka w moim przekładzie.

W dalszej przyszłości mam zamiar napisać wreszcie dobrą powieść o Polsce, o ile moi wydawcy, przyjaciele i „Odrodzenie" nie powiedzą: stop.

Zofia Starowieyska-Morstinowa: Podczas wojny napisałam tom essayów z zakresu sztuki, zagadnień kulturalnych i historiozoficznych. Jest to duża książka, zastanawiająca się nad zagadnieniami twórczości, „tej dziwnej a tajemniczej ludzkiej czynności, dokonywanej na ziemi uparcie i nieznużenie wśród chaosu ciągle burzonego i ciągle od nowa budowanego porządku świata". Myśl o niezniszczalnej wartości dóbr duchowych człowieka, o niezniszczalności sztuki i jej osiągnięć była dla mnie ostoją w czasach przemocy i pogardy i dla tego, pozornie tak nietaktownie. oddałam się w tych czasach długim i mozolnym studiom nad czasami włoskiego renesansu, nad Dantem i rzymską starożytnością. Książka ta pt. „Kabała historii" ukaże się — ufam — niezadługo, nakładem księgarni Stefana Kamińskiego, który zakupił ją jeszcze podczas wojny.

Teraz zajęta intensywną pracą dziennikarską i zarobkową nie mam czasu na pisanie rzeczy dłuższych. Nie tracę jednak nadziei, że uda mi się jeszcze napisać parę dłuższych sylwetek naszych pisarzy, a przede wszystkim studium o Janie Kochanowskim. Myśl o ukazaniu szerszej publiczności, a zwłaszcza młodzieży, Kochanowskiego, jako człowieka żywego, myśl o zdarciu zeń szkolnej nudy, jest od dawna moim marzeniem. Ufam, że życie pozwoli mi kiedyś marzenie to urzeczywistnić.

Antoni Waśkowski: Przygotowałem do druku szósty tom poezyj, obejmujący nie wydane dotąd liryki z ostatnich lat przed wojną oraz z czasu okupacji i po odzyskaniu wolności.

Kończę dramat współczesny, w którym przedstawiam człowieka pracy w konflikcie dwóch światów: aktywnego i pasywnego. Zwycięża entuzjazm pracy. Kończę też „Legendę", poemat epiczny, którego pierwsza księga (trzy pieśni) ukazała się drukiem w r. 1926. Całość obejmuje ksiąg dwanaście.

W dziedzinie pracy naukowej daje materiał do historii teatru krakowskiego. Część pierwsza („Teatr Teofila Trzcińskiego") drukowana była w roku 1932, część drugą („Teatr Juliusza Osterwy") i część trzecią („Teatr Karola Frycza") — obecnie piszę.

Jerzy Zagórski: Spisałem w zeszłym roku umowę z „Czytelnikiem" na wydanie do lipca bieżącego roku oskubanego tomu poezji wojennych i powojennych. Ponieważ w tym samym mniej więcej czasie wymierają również umowy zawarte przeze mnie w czasie wojny, więc jeśli i „Czytelnik" terminu nie dotrzyma, będę mógł po lipcu oferować wydawcom wiersze zebrane.

Obecnie zawarłem z „Książką" umowę na druk cyklu essayów pt. „Indie w środku Europy". Będą to wrażenia z podróży do południowych Niemiec i późniejsze krajowe refleksje.*

„Święto Winkelriedа", komedia napisana wiosną 1944 roku wespół z Jerzym Andrzejewskim, czeka czasu, gdy dyrektorzy teatrów nabiorą większego rozpędu i odwagi, tudzież potrafią wprowadzić na scenę 50 osób! Miałem i sztukę na 7 osób: „Będziemy biedni" napisaną tuż przed wybuchem wojny wespół z K. I. Gałczyńskim. Jestem na tropie tych, co szabrowali moje mieszkanie po wyjściu Niemców, niszcząc przy tej okazji maszynopis tej sztuki.

Tyle o tym co napisałem i co jest przygotowane do druku, wystawienia lub zapomnienia. O tym co będę pisał i co mam obecnie na warsztacie wolę, aby ankieta milczała, gdyż projekty wymieniane w podobnych ankietach zazwyczaj w 90 procentach nie bywają realizowane.

*) Por. odpowiedzi w nr nr 68—70 „Odrodzenia".

Korespondencja

JESZCZE O BIESTUŻEWIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W bardzo ciekawym artykule L. Podhorskiego-Okołowa o Mickiewiczu w Rosji („Odrodzenie", nr 65) znajdujemy wzmiankę, że uwiecznienie w III cz. „Dziadów" oficera rosyjskiego, znajdującego się na balu u Nowosilcowa, łączy się z faktem pobytu na Litwie w celach spiskowych „jednego z przyszłych dekabrystów Bestużewa-Riumina". Pragnę stwierdzić, że jakkolwiek to samo przypuszczał już Askenazy („Łukasiński", II², 332), nie ma bezwzględnej pewności, że to właśnie do owego Michała B.-R. odnosi się owo miejsce w „Dziadach". Mianowicie chodzić tu może jeszcze o innego Biestużewa: o Aleksandra B., zwanego Marlinskim, który również bywał na Litwie i poezje jego były tam tłumaczone na język polski jeszcze w czasie pobytu Mickiewicza w kraju. Z tym Biestużewem, niemal rówieśnikiem naszego poety (żył 1797—1837), Mickiewicz stykał się w Petersburgu — był to przyjaciel Rylejewa. (Pisałem o tym niegdyś w swej pracy „Mickiewicz a Słowianie do r. 1840", Lwów, 1936, str. 99—100).

Przy sposobności jedna uwaga: dlaczego we wspomnianym artykule mamy konsekwentnie „Bestużew", i tak samo Trubecki, Oboleński, Tumański? Dlaczego polszczyć te nazwiska rosyjskie — o ile to jest polszczenie? Po rosyjsku wymawia się Biestużew czy Trubiecki (właściwie nawet: Trubieckoj, ale końcówkę jest już wygodniej spolszczyć dla łatwiejszej odmiany), Tumanski i Obolenski (zatem bez ń). Nazwisk obcych nie należy o ile możności zmieniać, a nawet fakt, że forma „Bestużew" została dzięki „Dziadom" u nas silnie zadomowiona, nie uprawnia nas do przypuszczania, że Rosjanin wymawia tu e twarde („e oborotnoje") lub że miękczy n przed s. Starajmy się nazwiska pobratymców oddawać naszymi literami o ile możności jednak wiernie!

Henryk Batowski (Kraków)

NIEUDOLNY WELLS

Do redaktora „Odrodzenia"

J. Zagórski w artykule „Prowincja" („Kuźnica", nr 11) roztacza przed czytelnikami fascynującą wizję „przywrócenia historii" przy pomocy radaru. Koncepcja artykułu przypomina Wellsa „Wehikuł czasu", a także teorię „energetycznej nieśmiertelności duszy", głoszoną przez profesora Dębickiego z „Emancypantek" Prusa. Wszystko razem, zaprawione sosem radarowym, ma nam w niedalekiej już przyszłości umożliwić oglądanie Katona Cenzora, tudzież wysłuchiwanie jego autentycznych mów Początkowo czytelnik nie może zorientować się, czy zamierzeniem autora był humorystyczny purenonsense, czy też naukowa fantazja. Czytając dalej stwierdzamy jednak ze zdziwieniem, że autor uparcie, choć bezskutecznie, usiłuje nam wmówić zgodność swej fantazji z nauką. Technika „sprawdzania historii" jest według J. Zagórskiego bardzo prosta:

„Głos ludzki rozchodzi się z szybkością kilkuset metrów na sekundę i choć odchodząc od swych źródeł cichnie, jednak faluje coraz dalej i jest to tylko sprawą czułości przyrządów, aby go uchwycić gdzieś w bardzo dalekich przestrzeniach, gdzie doszedł po wiekach i tysiącleciach. Radar natomiast może być bardzo szybki. Trzysta tysięcy kilometrów na sekundę pono nie jest dla niego rzeczą niemożliwą. Na razie ten radar łowi tylko twarde przedmioty. Ale lada rok, lada dziesięciolecie, a może powstać radar doskonalszy ...który dzięki swej szybkości, być może dającej się jeszcze wielokrotnie zwiększyć (sic!), będzie w stanie dościgнąć głos lecący wolno po wszechświecie... Dościgнąć głos, dościgнąć obraz i przyprowadzać je do nas po kolei z powrotem".

Szkoda, że piszący fantazje naukowe porzucili pożyteczny zwyczaj opierania się na prawdzie. Verne, Wells i ich naśladowcy puszczali wodze fantazji w obszarach przez naukę jeszcze niezbadanych, nie dopuszczali jednak do kolizji swych podstawowych założeń z prawami fizyki. J. Zagórski, niestety, postępuje inaczej. Zapomina, że:

1. Głos nie rozchodzi się nieskończenie z dwu powodów, a mianowicie: po pierwsze jest podłużną falą zgęszczeń i rozrzedzeń, rozchodzącą się tylko w ośrodku materialnym — np. w powietrzu — a nie rozchodzącą się w przestworzach międzyplanetarnych; po drugie fala głosowa jest drganiem zanikającym. Niesie ona pewien zapas energii, napotykając zaś na opór ośrodka energię tę zużywa na jego pokonanie, przy czym energia drgań przemienia się w ciepło. Z chwilą zamiany całego zapasu energii na ciepło fala nie tylko praktycznie, ale i teoretycznie zanika, tzn. amplituda jej spada do zera. Poza tym punktem (nie mówiąc już o „bardzo dalekich przestrzeniach", do których głos jakoby dotrze po tysiącleciach) — najczulsze przyrządy projektu J. Zagórskiego głosu nie wykryją.

2. Trzysta tysięcy kilometrów na sekundę (a ściślej — ok. 299 tysięcy km/sek) nie jest dla radaru „rzeczą niemożliwą", jest natomiast dla niego rzeczą konieczną, a co ważniejsze — nieprzekraczalną. Tyle właśnie, ani mniej ani więcej, wynosi szybkość rozchodzenia się fal elektromagnetycznych, do których — obok światła, zwykłych fal radiowych i in. — należy i radar. Żaden „lepszy gatunek radaru" nie tylko nie osiągnie prędkości rzędu kwadrylionów km/sek. niezbędnej, aby „dogonić" fale świetlne wysłane przed 2000 lat, ale nawet prędkości 301 tysięcy km/sek. — tak przynajmniej każe nam sądzić fizyka. Bardzo nam przykro, ob. Zagórski, ale z nadziei oglądania i słuchania autentycznej kroniki radarowej z posiedzeń rzymskiego senatu musi obywatel zrezygnować.

„Przecież są tacy uczeni", — pisze dalej J. Zagórski — „którzy przypuszczają, że koniec świata, wobec stałej tendencji wszelkich fal do wydłużania się, i wobec tego że stosunkowo najdłuższymi falami są fale głosowe, będzie czymś w rodzaju gigantycznego radiowego koncertu" (podkreślenia moje).

Nie dyskutując już z tezą o przemianie wszelkich fal, — np. elektromagnetycznych — w głosowe (owszem, w radioodborniku, ale nie drogą „wydłużenia!!") — przypomnę tylko, że długość fali głosowej wysyłanej np. przez drgającą strunę nastrojoną na ton „a" przy częstości 435 drgań na sekundę i szybkości rozchodzenia się w powietrzu ok. 330 m/sek. — wynosi mniej więcej 70 cm. Długości innych fal głosowych są tego samego rzędu. A długość fal elektromagnetycznych sięga nieskończoności. Zwykłe fale stosowane w praktyce radiofonicznej posiadają długość od 9 do 2000 m. Według J. Zagórskiego są one jednak „ stosunkowo krótsze" od fal 70-centymetrowych.

„Dobrze, gdy kto łże wesoło i składnie", jak powiada młody rosyjski poeta Twardowski w znakomitym swym poemacie wojennym „Wasyli Tiorkin". Nie dobrze natomiast, gdy kto czyni to tragicznie i bez sensu.

Ludwik Fen (Łódź)

RZEKOMY WYWIAD

Do redaktora „Odrodzenia"

Ponieważ z racji rzekomo udzielonego prasie angielskiej wywiadu byłam atakowana już dwukrotnie: najpierw w „Kuźnicy" a następnie w „Odrodzeniu", uważam za stosowne wyjaśnić, że **żadnych wywiadów nikomu nie udzielałam.** Wiadomość o moim projekcie napisania książki o obozie koncentracyjnym w Ravensbrücku, która tak denerwuje **bp,** przedostała się do prasy angielskiej z zebrania, jakie krakowski oddział Związku Zawodowego Literatów urządził dla dziennikarzy angielskich w lipcu ub. r. Wówczas, po zapytaniu jednego z obecnych, jak pisarze polscy zamierzają zużytkować literacko swoje przeżycia z czasów okupacji, zabrałam głos, mówiąc o swoim projekcie napisania książki o Ravensbrücku, pojętej jako dokument nie tylko faktów zewnętrznych, lecz i reakcji psychicznych.

Ze szczególnym naciskiem podkreślam, że moja wypowiedź nie była prywatnym wywiadem, lecz publicznym wystąpieniem w obecności licznie zebranych kolegów. Zabierając głos, skorzystałam tylko z przysługującego mi prawa, podobnie jak korzystali z niego inni, i nie jest moją winą, że moje projekty wywołały żywsze zainteresowanie niż inne — być może bardziej na to zasługujące.

Eugenia Kocwa (Zakopane)

NIEWŁAŚCIWE ŚWIATŁO

Do redaktora „Odrodzenia"

W artykule Franciszka Gila „Żniwo wielkiej reformy. Władza ludu" w rozdziale „W muzeum i na wikarówce" („Odrodzenie" nr 68) przytoczone urywki dłuższej rozmowy ze mną mają pewne nieścisłości i przesady. Ponieważ stawiają mnie one w świetle niewłaściwym, przeto proszę o umieszczenie następującego sprostowania:

1) Wcale nie wyraziłem zapatrywania, że bandy zagrażające życiu spokojnych obywateli, a więc i mojemu — to właśnie „ciemne siły" broniące dworu. To zestawienie jest wyłączną własnością p. Gila. Rola jakiegoś, „gotowego na śmierć z ręki ciemnych sił, broniących jeszcze dworu" bohatera, którą autor zdaje mi się przypisywać, była i jest mi zupełnie obca.

2) Inspirowane mi słowa: „gdybym mu był nie mówił — idź, pracuj — byłby żył", są zdekompletowane i przestawione. Słowa moje miały brzmienie: „gdybym mu był powiedział — nie idź, nie pracuj — byłby żył". Więc śmierci jego mogłem być winny tylko w tym znaczeniu, że go nie skłaniałem do zaniechania prac oświatowych na terenie jego rodzinnej wioski.

Powiązanie zamordowania ucznia naszego gimnazjum ze sprawą organizatorską „Wici" nie odpowiada prawdzie i jest domysłem autora.

3) Wypowiedzi moje na temat reformy rolnej nie upoważniały p. Gila do pasowania mnie na „żołnierza rewolucji rolnej w sutannie". Uważam się przede wszystkim za kapłana, żołnierza idei Chrystusowej, a jako taki z rewolucją rolną nie miałem i nie mam nic wspólnego.

Ks. Leon Trojnar (Tyczyn)

STACJA PAU W MOSKWIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W numerze 66 „Odrodzenia" ukazał się artykuł „O stacji naukowej Polskiej Akademii Umiejętności w Moskwie".

W artykule poruszona została kwestia niezwykle aktualna, gwoli prawdy czuję się jednak w obowiązku zaznaczyć, że twierdzenie, jakoby Polska Akademia Umiejętności „nie zajęła w tej sprawie żadnego stanowiska" — jest nieścisłe. W swoich listach, skierowanych do Ambasady R. P. w Moskwie, jak i do mnie — jako do projektodawcy, śp. prof. Kutrzeba, jak i prof. Tadeusz Kowalski, ustosunkowali się do omawianej propozycji przychylnie.

Samuel Fiszman (Moskwa)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W notatce bibliograficznej „Rosyjska czytanka" winno być „nie komplikuje głosowni rosyjskiej" — zamiast pisowni („Odrodzenie", nr 70).

W omówieniu pracy T. Lewickiego „Księgi Rogera" zdanie w 3 szpalcie, wiersz 6 od dołu powinno brzmieć: „Wypada zaznaczyć, że z wymienionych przez Araba miast bez trudu można rozpoznać Kraków, Gniezno, prawdopodobnie Wrocław (— tislaba) i Przemyśl (— ram (i) sli) itd."

Józef Sieradzki (Kraków)

SPROSTOWANIE

Do redaktora „Odrodzenia"

W 66 numerze „Odrodzenia" ukazała się recenzja ppłk. dypl. J. Kirchmayera o „Bellonie" obarczona pewnymi nieścisłościami liczbowymi, które prostuję: objętość rocznika „Bellony" wynosi 904 str. a nie 761 jak mylnie podano i ilość współpracowników pisma w ciągu roku sięga liczby 52, a nie 30.

Jesteśmy o te dane bardzo zazdrośni, gdyż, jak to podkreślił w swej recenzji ppłk. J. Kirchmayer, praca wojskowo-redakcyjna układała się i układa w Polsce opornie, tak, że każda strona przydatnego tekstu lub każdy nowy autor stanowi dla nas (-tislaba) i Przemyśl (-rans (i) sli) itd.

major **Apoloniusz Zawilski**
redaktor „Bellony"

W poprzednim (70) numerze „Odrodzenia" z dnia 31 marca: **Bogusław Kuczyński:** W Anglii i gdzie indziej. — **Krzysztof Radziwiłł:** Jeszcze raz Churchill. — Młodzi poeci: **Zbigniew Stolarek:** Erotyk. **Klemens Oleksik:** Na posterunku. **Władysław Machejek:** Już nie umiesz. **Józef Kamionka:** Wspomnienie. — **Artur Sandauer:** Sprawa godności. — Z wystawy pośmiertnej Józefa Pankiewicza. — Z wystawy pośmiertnej Alojzego Majchra. — **Wacław Kubacki:** Echa Mozarta w III części „Dziadów". — **Eugeniusz Zieliński:** Mickiewicz w deszczu jesiennym. — **Artur Maria Swinarski:** Powrót Alcesty. — Wiersze młodych poetek: **Marta Aluchna:** Inna wiosna. **Anna Pogonowska:** ***. **Akwilina Gawlik:** Niepokalana. — **Teofil Witek:** Ruch odrodzenia narodowego. — Korespondencja **(Helena Devechy, Henryk Vogel, J. Zieliński, Andrzej Józef Kamiński, Tadeusz Kowalski).** — W pracowniach pisarzy i uczonych **(Jerzy Bober, Roman Bratny, Jan Dobraczyński, Stefan Flukowski, Stanisław Helsztyński, Maksymilian T. Huber, Gabriel Karski, Maria Krzetuska, Zygmunt Leśnodorski, Witold Zechenter).** — **Wilhelm Mach:** Z doliny głodu w dzień dzisiejszy. — **jp:** Ostatni wiersz Ginczanki. — **Krystyna Kuliczkowska:** Parę uwag o „powieściach dla dorastających panienek". — **Józef Sieradzki:** Arab z XII w. o Polsce. — **Stefania Łobaczewska:** Z życia koncertowego w Krakowie. — **Aleksander Dzienisiuk:** Prapremiera w Bydgoszczy. — **Mieczysław Dereżyński:** Sztuka Iwaszkiewicza w Toruniu. — **Jerzy Zawieyski:** Jak przyznano nagrodę literacką Krakowa. — **js:** Rosyjska czytanka. — **p:** Ofiara własnej wyobraźni. — **js:** Kronika kulturalna ZSRR. — 6 ilustracji. — 12 stron.

POLSKIE RADIO

poszukuje

SPEAKERA i SPEAKERKI

posiadających następujące kwalifikacje:

1. nieskazitelną dykcję,
2. umiejętność biegłego czytania w kilku językach europejskich,
3. znajomość:
   a) historii powszechnej i historii literatury światowej,
   b) historii muzyki i nomenklatury muzycznej,
   c) zagadnień i nazwisk świata politycznego,
4. dar szybkiej orientacji i wysoką kulturę osobistą.

Osobom zaangażowanym na to stanowisko Dyrekcja Polskiego Radia zapewnia specjalnie korzystne warunki materialne.

Zgłaszać się należy z podaniem i życiorysem do Naczelnika Wydziału Emisji, Warszawa, Polskie Radio, Al. Stalina 31, w godzinach od 10—13-ej.

Ostateczny termin zgłoszeń upływa dnia 1 maja b. r.

WACŁAW KUBACKI

W trosce o człowieka

Po tamtej wojnie dużo się mówiło o ludzkości. Obecnie mówimy o człowieku i zdaje się nam, że jesteśmy w ten sposób ściślejsi od naszych ojców. Bo co to jest ludzkość? — pytamy. Pojęcie zbiorowe. Nikt nigdy nie widział na oczy ludzkości. Walczyły państwa, krwawiły narody, ale cierpieli ludzie.

Co innego człowiek! To jest coś konkretnego. Dlatego wszyscy dziś mówią o człowieku. Jedni z namaszczeniem, a drudzy z polotem. Jeśli się nie drukuje tego wyrazu dużą literą, to tylko z obawy przed śmiesznością maniery młodopolskiej. Wszystkie deklaracje są przykładnie zgodne w trosce o człowieka. Dlaczego? Bo mówią o człowieku w ogóle. Kłopot zaczyna się dopiero po deklaracji. Glossa już zdradza nieporozumienie, a komentarz równa się wręcz ultimatum, poprzedzającemu wojnę. Czym innym jest bowiem człowiek dla katolika, czym innym zaś dla marksisty — że weźmiemy tylko dwa skrajne stanowiska.

Człowiek jako pojęcie gatunkowe jest taką samą fikcją jak ludzkość naszych ojców. Cały spór ideologiczny o człowieka, wszystkie manewry polityczne dadzą się sprowadzić do dwu form ujmowania zagadnień: abstrakcyjnej i konkretnej, a w pewnych wypadkach teoretycznej i praktycznej. W „Słowniku filozoficznym" Wolter polemizuje ze zdaniem Pascala, że myślenie stanowi istotę człowieka. Tę szlachetną funkcję z istoty degraduje do roli atrybutu (artykuł „Homme").

Dziwne się wyda wystąpienie jednego z czołowych bojowników racjonalizmu przeciw racjonalistycznej zdawałoby się tezie Pascala. Tymczasem właśnie rozum nie pozwolił Wolterowi na bałwochwalstwo rozumu. Wolter pisze o człowieku, który myśli, chodzi, mówi, je, śpi, czyli o człowieku obdarzonym różnymi właściwościami. Człowiek zaś, o którym mówi dziś wielu pisarzy, zdaje się składać z samej „istoty", tak jakby istniał poza trzema wymiarami.

Czy pisząc o abstrakcyjnym człowieku piszemy dla człowieka? Co przyjdzie człowiekowi konkretnemu, to znaczy temu, owemu i tamtemu — temu co bieduje, tamtemu, którego sponiewierano i owemu, który w ciężkich warunkach życia zwątpił o swym człowieczeństwie — co przyjdzie im wszystkim z naszej serdecznej troski o człowieka w ogóle, człowieka, nie cierpiącego i nie istniejącego?

Różne są przejawy humanistycznego abstrakcjonizmu, a każdy pozornie bardzo szlachetny. Nie od dziś przeciwstawia się hasło odrodzenia moralnego hasłu reform społecznych; odwieczna to tendencja zmierzająca do przeniesienia moralności ze sfery jej działania, sfery ludzkiej, w sferę beztlenową, gdzie nie ma życia moralnego. W czasie wojny domowej w Hiszpanii dopatrywano się szkodliwego wpływu walki byków na narodowy charakter Hiszpanów. Zamiłowanie do krwawych widowisk miało przyczyniać się do niszczenia zabytków sztuki maurytańskiej przez chrześcijan, jak i do burzenia pomników budownictwa chrześcijańskiego przez Maurów.

Konflikt rozwiązywano na różne sposoby. Jedni radzili ochrzcić Maurów. Drudzy chcieli chrześcijan nauczyć wzniosłych zasad Alkoranu. Znalazł się też doktór obojga dialektyk, który sądził, że trzeba zagadnienie rozważyć starannie i ustalić, czy to charakter Hiszpanów wytworzył walkę byków, czy na skutek jakichś bliżej nieznanych powodów niewinna sama w sobie zabawa doprowadziła do skażenia obyczajów szlachetnych hidalgów i grandów.

Dialektyk znalazł posłuch u mistrza od chodzenia po linie. Skwapliwie przyłączył się do nich połykacz sztyletów. Jak wiadomo, tres faciunt collegium. Proponują tedy dla zgłębienia sprawy wyłonienie paru komisji: historycznej, etnograficznej, porównawczo-obyczajowej, obyczajowo-prawnej i prawno-ekonomicznej. Ta ostatnia miałaby współpracując z prezydium rady ministrów rozstrzygnąć kwestię, czy w razie zniesienia krwawych igrzysk, toreadorom pozbawionym warsztatów pracy przyzna się odszkodowanie w rencie państwowej, czy też puści się ich bez odszkodowania na zieloną trawkę razem z bezrobotnymi bykami. Tymczasem okazała się pilna potrzeba wskrzeszenia Świętej Inkwizycji dla tymczasowego czuwania nad moralnym poziomem walk byków. Nie ma bowiem pewniejszej drogi do zaprzepaszczenia każdej sprawy nad dystynkcje formalne i obrady proceduralne.

Z grubsza rzecz biorąc mamy do czynienia z dwiema partiami humanistycznymi: z zachowawczą i postępową, z metafizyczną i naturalną koncepcją człowieka. Pierwsza, mówiąc najogólniej, zajmuje się człowiekiem, jako istotą religijną, a druga jako istotą fizyczną czyli istniejącą w świecie rzeczy i ludzi. Pierwsza jest starsza, druga młodsza.

Troska o moralną godność człowieka ma za sobą wielowiekową tradycję. To jej duma. Równocześnie to jej słaby punkt. Kilkanaście wieków bowiem świadczy o bezskuteczności szlachetnej troski o godność ludzką. Inaczej być zresztą nie mogło. Nie można się spodziewać poważnej i skutecznej obrony człowieka od nauki, która nie uznaje autonomii człowieka na ziemi i rację jego istnienia przenosi w zaświaty. W tym systemie zło ziemskie może się nawet okazać zbawienne jako powód do refleksji moralnej. Nieszczęście i bieda mogą z kolei komuś dać sposobność do dobrego uczynku: w ten sposób cnota cnotę wspiera, a zło trwa.

Obozowi postępowemu stawia się dwa zarzuty, które znoszxc się wzajemnie, tym samym zdradzają swą bezpodstawność. Jeden brzmi: bałwochwalstwo człowieka, całkowite poświęcenie uwagi jego ziemskiej egzystencji, ciasna przyrodniczość, kult osobników i ich potrzeb fizycznych. Drugi wprost przeciwnie twierdzi, że o człowieka wcale się nie dba, bo jednostkę roztapia się w gromadzie, tę zaś z kolei rozcieńcza się w warunkach historyczno-ekonomicznych.

Trzeba przyznać, że niemało w tym zawinili popularyzatorzy doktryn społecznych, którzy przez reakcję na indywidualistyczne koncepcje historii i kultury zbyt silnie podkreślali nieosobowy, ślepy niejako charakter przemian dziejowych, utrwalając w ten sposób à rebours mistyczny, niehistoryczny pogląd na siły dziejotwórcze. Poza działalnością człowieka nie ma innych sił dziejotwórczych. Człowiek jest przedmiotem i wyrazem procesów społeczno-politycznych. Ten sam człowiek może być jednak także inicjatorem tych procesów. To równocześnie zdun i glina.

Wręcz paradoksalnie wygląda ta sprawa w marksizmie, który przyjąwszy ewolucjonizm konsekwentnie dopuszcza możliwość rozwoju, czyli zmiany swych założeń. Rozwój filozofii materialistycznej, linia od marksizmu do stalinizmu, świadczy, że to nie jest tylko czcza teoria. O ocenie poszczególnych faz rozwojowych, o wyborze momentu zmiany, o przekształceniu samej doktryny decyduje właśnie człowiek! W tej perspektywie wydaje się dziwnym nieporozumieniem robienie ze spraw gospodarczo-ustrojowych zagadnienia zasadniczo antyhumanistycznego przez jednych oraz utrzymywanie przez drugich, że dialektyka społeczna „przekreśla" osobowość, jako fikcję antydemokratyczną. Walka polityczna, jak się okazuje, może prowadzić do pomieszania zasadniczych pojęć.

Nie trzeba być zresztą marksistą, żeby stwierdzić, iż rola człowieka w świecie wzrasta w miarę, jak staje się on z istoty metafizycznej istotą historyczną, czyli z fikcji czymś realnym. To jest linia nauki, która się może spotykać z linią marksizmu. Stąd nieraz pojęcie marksizmu rozszerza się na fakty leżące poza sferą właściwego marksizmu. W tym zapewne znaczeniu mówił Stefan Żółkiewski, że marksistowska klasyfikacja historyczno-literacka uważa Goethego nie za pierwszego romantyka, lecz za przedstawiciela oświecenia. („Odrodzenie", nr 37).

Niemarksistowska historia literatury też nie miała co do tego żadnych złudzeń. Już pani George Sand pisząc w 1839 roku o Goethem, Byronie i Mickiewiczu stwierdziła, że twórczość Goethego to historia wieku poprzedniego, to duch Woltera i jego szkoły, to rezultat systemów Kartezjusza, Leibnitza i Spinozy, którego lirycznym i godnym podziwu popularyzatorem był Goethe. „Oto jakbym określiła „Fausta": bałwochwalczy kult ubóstwianej natury w stylu XVIII wieku".. czytamy w „Essais sur le drame fantastique". Nie potrzebuję dodawać, że niezależne od siebie dojście do tych samych wyników przez krytykę historyczno-literacką i przez krytykę marksistowską stanowi cenny moment kontrolny dla obu metod.

Jest to truizm, który jednak trzeba ciągle powtarzać, że tylko uwzględnienie w równym stopniu roli podmiotowej i przedmiotowej człowieka w świecie jako twórcy i tworzywa dziejów, broni zarówno przed skrajnością indywidualizmu, jak przed nadużywaniem analogii przyrodniczej. Indywidualizm bezwzględny jest abstrakcjonizmem. Ciasna przyrodnicza interpretacja humanizmu jest niebezpieczna społecznie, bo może zachęcać do przerzucenia pracy reformatorskiej, której nikt za nas nie wykona, na warunki gospodarcze, zmiany struktury, płaszczyzny ekonomiczne, przekroje społeczne i wykresy produkcji. Człowiek jest zbyt wygodny, żeby mu można było dać bezkarnie jakikolwiek powód do „zaleniwienia się" mówiąc stylem Słowackiego.

Najwspanialsze programy, największy rozmach reform pójdą na marne, jeśli wykonawcy nie okażą się ideowcami i wybitnymi indywidualnościami. Najwięksi ideowcy nic nie zrobią, jeśli nie będą umieli myśleć realnie i działać praktycznie. Najbieglejszy praktyk zawiedzie, jeśli nie będzie się kierował głęboko i jasno przemyślanym programem.

Wielkie reformy wydadzą owoce nie od razu. A działać, pomagać, interweniować, uczyć, karcić i wychowywać trzeba już teraz, nie czekając z człowieczeństwem, moralnością i oświatą obywateli aż się dokona zmiana struktury społecznej i aż wyrośnie nowe pokolenie. Nauki społeczne zbyt wysoko cenią odpowiedzialność za słowo, żeby się chciały wiązać jakimiś ściśle określonymi terminami. Od ekonomii trudno żądać, żeby się bawiła w Sybillę, z którą nic jej nie łączy poza pewną skłonnością do ciemnego stylu.

Tymczasem człowiek pragnąłby królestwa bożego dla siebie i bliźnich jeszcze za swego ziemskiego żywota, a przynajmniej chce mieć nadzieję na jakiś cień społecznego millenium. Człowiek konkretny, człowiek istniejący w ciele, które trzeba odżywiać i odziewać, żyjący w świecie, przed którego niszczycielskimi wpływami musi się ustawicznie bronić, człowiek, którego dni przyrównano do kwiatu łącznego i dymu i śladu na wodzie po przejeździe łodzi, jest zwierzęciem niecierpliwym. Podobieństwo do kwiatu i dymu i śladu na wodzie usprawiedliwia w całej pełni tę naszą cechę gatunkową.

Bo my ani z roli ani z soli, tylko z tego, co nas boli. Jesteśmy i chcemy być realistami. Powojenny świat jeszcze nie jest tak doskonale piękny, jak się wydaje poetom. („Po wojnie inteligencja postępowa straciła powody do jakiejkolwiek tragedii" — „Kuźnica", nr 10). Jeszcze przez pewien czas niestety będziemy mieli trochę powodów do różnych tragedii. Cóż, nie każdemu dano osiągnąć ten wysoki stopień uduchowienia, jakim odznaczają się dzisiaj niektórzy publicyści. Szczęśliwi ludzie!

W ogóle co do oceny sytuacji dziejowej i społecznej bezpieczniej trzymać się zdania polityków. Minister Bieńkowski twierdzi trzeźwo i odważnie, że świat jeszcze nie jest piękny. Dopiero będzie piękny. Dodajmy, że od nas tylko zależy, żeby był naprawdę piękny i to już w niedalekiej przyszłości. Być może, iż wtedy istotnie stracimy powody do wielu tragedii, ale nie do wszystkich.

Czynię to zastrzeżenie dla uspokojenia naszych autorów dramatycznych, którzy mogliby bruździć nam w realizacji raju na ziemi z obawy, że zostaną wówczas bezrobotni. Strachy na lachy! Coś niecoś materii tragicznej zostanie zawsze na tym najlepszym podobno z możliwych światów.

Wacław Kubacki

Spróbujmy określić pojęcie

Gdy wynalazek kina zaczął się rozpowszechniać, przepowiadano upadek teatrowi dramatycznemu (Lenormand napisał nawet sztukę pt.: „Zmierzch teatru"!). Owo przewidywanie nie sprawdziło się — zwykły los przepowiedni. W sprawach tego rodzaju niezmiernie trudno uchwycić prawidłowość i przypuszczalny bieg wydarzeń. Historia kultury kpi sobie ze zbyt pochopnych proroków.

Teatr nie tylko nie został wyrugowany przez kino, lecz przeżywa okres niewątpliwej koniunktury. Z wielu krajów nadchodzą wiadomości o mnożeniu się teatralnych przedsiębiorstw, rozchwytywaniu biletów i długiej karierze sztuk. Np. w Anglii niektóre utwory grywane są po 3, 4, a nawet 6 lat. Powodzenie takie jest szkodliwe, bo zabija inicjatywę, uniemożliwia urozmaicenie repertuaru. Boy słusznie mówił już przed wojną o „klęsce koniunktury" teatralnej — przypominającej „klęskę urodzaju", na którą wyrzekali rolnicy.

Wiadomo, że można stracić głowę nie tylko w nieszczęściu. Powodzenie także zdolne jest zabić samowiedzę. Zadowolone z materialnych sukcesów teatry nie myślą o totalnych swych zadaniach. Nie zadają sobie pytania: Czym są? Jaką odgrywają rolę? Jaka jest ich pozycja w świecie kultury współczesnej?

Rozpocząć trzeba (jak sądzę) od określenia samego pojęcia, które bynajmniej nie jest jednoznaczne, jasne i ścisłe. Co znaczy słowo „teatr"? Już sama powszechność tego zjawiska przyczynia się do gmatwaniny pojęć. Teatr istniał we wszystkich znanych nam kulturach świata: w Indiach, w Japonii, w Grecji i w Egipcie, u Azteków i w Bizancjum. Istnieje też w społeczeństwach pierwotnych: u Eskimosów, Hotentotów, na Złotym Wybrzeżu, w Laponii. Zawiązki teatru znajdziemy w każdym pokoju dziecinnym. Pięcioletnia siostrzeniczka moja, która jeszcze nigdy nie była w „prawdziwym" teatrze, ustawia dwa krzesła, zamyka je deską od prasowania, aby w ten sposób „zainscenizować" sklep. Czyni to z tak żywiołową radością, że trudno się nie dopatrzyć głosu instynktu.

Obserwujmy dalej. Czy nowoczesne zawody sportowe mają charakter widowiska? Wielu z nas chodzi na matche footbalowe. Czy to nie jest teatr? Są tu aktorzy oklaskiwani i uwielbiani jak gwiazdy filmowe, jest akcja nieraz fascynująca i dramatyczna, są uświęcone tradycje inscenizacyjne. A nawet zwyczajne zbiegowisko uliczne może być w pewnym sensie — teatrem.

Jasną jest rzeczą, iż „teatr" tego rodzaju różni się jednak zasadniczo od teatru w sensie ściślejszym. Dobrze więc będzie wprowadzić rozróżnienie **widowiska od teatru dramatycznego.** Widowiskiem jest każde zjawisko społeczne polegające na tym, że dzieli biorących w nim udział na dwie grupy: działających i widzów. A teatr dramatyczny? To specjalny rodzaj widowisk, które rozgrywają się według planu, zakreślonego przez jego twórcę: literata, poetę, aktora.

Sądzę, że tego rodzaju rozróżnienie może nam dać wielorakie korzyści. Po pierwsze, pozwoli wyłączyć pewne zjawiska nie należące do pojęcia teatru dramatycznego. Np. cyrk jest niewątpliwie widowiskiem w szerszym znaczeniu tego słowa, ale teatrem nie jest. Na pograniczu teatru i cyrku stoi farsa. Wystarczy przypomnieć farsę francuską z jej czysto mechanicznym komizmem, wywoływanym np. ukrytym w łóżku dzwonkiem lub bieganiem po scenie rozebranej aktorki. Albo jeszcze lepiej. Farsa amerykańska czy średniowieczna operuje porcją kijów, kopaniem, podstawianiem nóg. Czy nie są to efekty bardzo bliskie sztuce klownów? Będąc przez 5 lat krytykiem teatralnym, bawiłem się odkrywaniem w farsach i operetkach typowych schematów z dawnych sztuk, najczęściej niedopasowanych do współczesności. (Podobnie w dzisiejszej piosence ludowej pobrzmiewają czasem echa Tetmajera, czy romantyków). To również dowodziłoby, że farsa jest widowiskiem, najczęściej (choć nie zawsze) dość odległym od ustalonego przez nas pojęcia teatru dramatycznego.

Zresztą dawniej owa różnica występowała zupełnie wyraźnie. Wystarczy przypomnieć sobie owe „dramy" popularne, o których pisał w znakomitej swej książce Bohdan Korzeniewski.

A teraz spróbujmy wysnuć wnioski dalsze. Często powstają w teatrze nieporozumienia między reżyserami i aktorami — a autorem. Kto pragnie dobrze zagrać rolę Hamleta, musi najpierw dokonać literackiej analizy tej postaci. Kto chce inscenizować „Balladynę", musi to uczynić w taki sposób, by wszystkie elementy widowiska — gra, ruch, światło, barwy i formy, akcenty, mimika, sytuacje — były zgodne z poetyckim sensem utworu. Inaczej stworzymy nieznośną kakofonię, sprzeczną z samą istotą sztuki. Nawet najlepszy poziom techniczny, śmiałość pomysłów, twórcza inwencja nie wyjdą wtedy na dobre reżyserowi. Niedawno w Paryżu sam sławny Baty wystawił sztukę „Le Faiseur", przerobioną z powieści Balzaka. Myśl tego utworu jest bolesna, ukazuje szamotanie się bohatera, zewsząd osaczonego przez wierzycieli, tropionego, szczutego. Jest tu wiele elementów autobiograficznych. Balzac, nieszczęśliwy gracz giełdowy, nieraz uciekał z własnego domu przez specjalnie zamaskowaną furtkę. Otóż Baty, uniesiony reżyserskim zapałem, nadał przedstawieniu ton lekki, wesoły, taneczny. U góry zawiesił jako symbol, dzwon zwiastujący przybycie wierzycieli. Przez scenę raz po raz w tanecznych podrygach przewijały się ładne nóżki wdzięcznej i dowcipnej subretki. W sumie myśl reżysera kłóciła się wyraźnie z zamierzeniem pisarza i mimo talentu Baty'ego powstał z tego artystyczny zamęt.

Gdy Leon Schiller wystawiał „Dziady", trzy krzyże umieszczone jako motyw dominujący i nadrzędny całego widowiska, lub stukot kart w „salonie warszawskim" — nie były przeinaczeniem woli poety. Czuliśmy istotne ich zgranie. Czy tak pojęta rola reżysera, aktora i plastyka teatralnego pomniejsza ich znaczenie, wielkość ich sztuki? Nic podobnego! Reżyserzy, aktorzy i plastycy teatralni mają do spełnienia zadanie ciekawsze niż zastępowanie czy przeinaczanie tekstu autora. Tym zadaniem jest realizacja sceniczna tzw. „nieteatralnych" utworów dramatycznych. Wynaleźć właściwą formę sceniczną dla „Dziadów", „Samuela Zborowskiego" czy „Nieboskiej" — to był prawdziwy tryumf teatru. Znaleziono sceniczne równoważniki nawet dla „Życia snem" Calderona, nawet dla „Człowieka, który był Czwartkiem". Dla prawdziwego człowieka teatru nie ma dramatów „niescenicznych". Tak zwana „nieteatralność" tkwi nie w dziele, ale w ubóstwie środków realizacyjnych.

Pozornym zaprzeczeniem naszej teorii są tzw. sztuki, pisane dla aktorów i z wyłączną myślą o jakimś aktorze. Nie trudno dowieść, że sztuki te prowadziły do podwójnej degeneracji: nie tylko poezji dramatycznej, ale i samej sztuki aktorskiej. Dostarczając aktorom pozornych ułatwień, przeszkadzały im w rozwoju, dojrzewaniu — w twórczości. Zmuszały ich do kopiowania samych siebie. Artystycznie ich niszczyły. Kapitulacja autora nie prowadzi w teatrze do żadnych pozytywnych wyników.

Wojciech Natanson

Powieści o średniowieczu

JESZCZE X WIEK

Władysław Jan Grabski. Saga o jarlu Broniszu. I. Zrękowiny w Uppsali. Okładkę projektował E. Bartłomiejczyk. Poznań, Księgarnia św. Wojciecha, (1946); str. 342 i 2 nl.

Wśród śniegu i lodów północy skandynawskiej, w mroźnej głuszy i promieniach polarnej zorzy poruszają się ludzie, których głos, stłumiony odległością wieków, ledwo dochodzi. Nad wszystkim panuje klimat sag. One, stosunkowo niedawno wciągnięte w krąg źródeł historycznych X wieku (przez Stanisława Zakrzewskiego), rzuciły nowe światło na Polskę Mieszka i Bolesława, one też służą Grabskiemu do roztoczenia obrazu wokół dwu bohaterów głównie: jarla Bronisza i Piastówny Sigrydy-Storrady. Królowa Szwecji, żona Eryka Zwycięskiego, miała podobno bujną, żywiołową naturę. Znalazłszy się w kręgu władców Szwecji, Norwegii i Danii, rozkochała w sobie gwałtownego Olafa Trygrassona, a zostawszy wdową wyszła za Swenda Widłobrodego. Wraz z nimi przetrwała w sagach, a wyobraźnia Grabskiego przydała jej nieco demoniczne cechy i niepokojący erotyzm.

Jarl Bronisz-Bronro ma w sobie krew książęcą. Jego dziad Gan był księciem kruszwickim i poległ za Odrą, na ziemi Bobrzan w starciu z margrafem Geronem. Wnuk włóczy się po Pomorzu, Prusiech i Skandynawii jako wysłannik i człowiek do specjalnych zleceń, potężnego brata Sigrydy, Burislafra-Bolesława. Kocha się przy tym w Heldze, córce jarla Juranda, miłością sentymentalną, zdolną do wyrzeczeń i wyjątkowej powściągliwości. Pozostaje bowiem pod wpływem duchownych, ojca Reinberna i samego biskupa praskiego Wojciecha-Sławnikowicza.

Gdzie waży się właściwa idea powieści i ideologia autora? „Nie masz takiego grzechu, którego by Stwórca nie wybaczył winnemu, jeżeli już darował tę winę skrzywdzony, albo władny nad nim a miłosierny człowiek". Tak naucza Polaków owego czasu biskup Wojciech, już opanowany myślą misji wśród Prusów. „Jeżeli zaś w zwycięstwie będziesz miłosierny, nie pożałuje Bóg, że ciebie obrał za narzędzie swej sprawiedliwości". I jeszcze: „Miłosierny zwycięzca to najlepszy sojusznik Boga-Rodzicy, Królowej Nieba, która dobrocią swą wstawia się u syna swego a Zbawcy naszego, by dla pokonanych już — miał dalszą litość".

Takich myśli słuchali na pewno Polanie jak sanskrytu, zwłaszcza ci którzy zaznali na własnej skórze praktyk saskich, Henryka Ptasznika słowianobójcy, Ottona I, margrafów i osobno szkolonej „legii łotrów", a także machinacyj duchownych prekursorów niemczyzny. Można by się też jeszcze spierać o pragmatyczną rację szerzenia w dzisiejszej Polsce ideologii miłosierdzia wobec zwyciężonego i darowania win, nasuwa się bowiem od razu zastosowanie tej wątpliwej maksymy do Niemiec.

Nie ulega wszakże wątpliwości, że biskup Wojciech i Reinbern i Unger przemawiają do urojonego audytorium, gdyż dla Broniszów taki język i takie pojęcia są niedostępne. Były przed biskupem Jordanem w Polsce wpływy chrześcijańskie i z Rzymu i przede wszystkim z Bizancjum, ale trzeba im przypisywać ograniczone znaczenie, zwłaszcza jeżeli idzie o głębię. To co wprowadza Grabski, jest inwersją nazbyt jaskrawą, narusza prawdopodobieństwo i razi poczucie rzeczywistości. Nad prawdą bierze górę dydaktyzm i religijno-moralna tendencja autora.

To samo, gdy Bronisz nie uczyni w stosunku do Helgi nic „co by wykraczało poza granice praw narzeczeńskich, wskazanych przez ojca Reinberna". Jest skromny w obyczajach i moralny.

„Gdybyś chciał — mówi Helga — zawsze możesz mnie obejrzeć, boć przecie należę do ciebie. Ale on — głową wskazał na pluskającego Olafa — nie chcę, by igrał ze mną, gdy jestem bez szat.

Skinieniem głowy podziękował jej za to".

O ile bardziej realistyczna jest już królewska Sigryda, która dała dworce szpilkę „z upoważnieniem dziwacznym wprawdzie, aby, póki jej nie odbierze, kłuła ją lub Olafa w razie zbyt gorącego zbliżenia. Nie ufała widocznie swej krwi, a raczej nie dowierzała Olafowi".

Z drobniejszych pośliznięć warto wspomnieć, że wikingowie w Jomsborgu wznoszą powitalny okrzyk „Heil". Albo, że Sigryda żegna Olafa życzeniem „Far wel" (tak, jak współczesny Tommy w piosence Tipperary). Poważniejsze rozmyślania w kierunku bolesnej aktualizacji wywołuje wyznanie o sobie Ungera: „Polak z niemieckiej krwi a biskup rzymski z hierachii magdeburskiej". Dużo oni Polskę kosztowali w różnych czasach, nie najmniej w czasach odległych.

Powieść płynie. Będzie tom II „Śladami Chrobrego" i III „Rok tysiączny", w którym ustali się poziom i artystyczne zalety pisarza. Bije u nas wartki strumień historycznej powieści. Jest Bunsch („Dzikowy skarb"), obecnie Grabski, wnet już chyba Gołubiew (Bolesław Chrobry), jest i wznowiony Ludwik Stasiak („Brandenburg, kraina słowiańskich mogił"), wszyscy miłośnicy wieku X-go, jest i Malewska z powieścią z XIII stulecia. Ożywiony historyzm wyrasta z potrzeb naszego czasu i jest zjawiskiem pomyślnym. Tendencja ideowa Jana Grabskiego wydaje się mocno spóźniona.

KAMIENIE I LUDZIE

Hanna Malewska. Kamienie wołać będą. Powieść z XIII wieku. Okładkę projektował **E. Bartłomiejczyk.** Poznań, Drukarnia św. Wojciecha (1946); str. 4 nl i 405 i 3 nl.

„Jeśliby ci milczeli, kamienie wołać będą". Łuk. 19, 40.

Jeżeli zamierzeniem Malewskiej było przedstawić egzaltację, w jakiej żyli ogarnięci żarem religijnym ludzie XIII wieku, egzaltację chwilami graniczącą z szałem, rodzącą nieprzewidziane postanowienia, szaleńcze decyzje, trudne do zrozumienia przeskoki psychiczne, przeobrażenia najmniej spodziewane i nieuzasadnione, prowadzące do wykolejenia, choroby, grzechu i zbrodni — to rzecz się autorce udała.

Ale właśnie wątpliwe jest, czy taka była jej intencja. Wędrówka w XIII wiek i sferę tradycyj o budowie katedry w Beauvais nie jest rzeczą przypadku czy kaprysu. Hanna Malewska jest żarliwą katoliczką. Religia jest dla niej opoką poglądu na świat. Poddaje jej dobrowolnie wszystko, co wie i myśli a wątpliwości wciska w obraną konstrukcję. Gdzież szukać lepszych obrazów, wzorów realizacji założeń wiary chrześcijańskiej niż w średniowieczu — niby rozmodlonym — w istocie wrażliwszym na problemy wiary niż współczesność. Jakby w przeczuciu nadciągającej burzy, (powieść zakończona została tuż przed wybuchem wojny), Malewska widzi ucieczkę przed nią w stulecie wędrownych mnichów, żebraczych naśladowców św. Franciszka. Brat Hilary, nędzarz i anachoreta wspina się na szczyt doskonałości, ciągnąc nadludzką zdolność przebaczenia, spowiadając i udzielając absolucji zbirowi, który wraz ze swą ofiarą — spowiednikiem dogorywa w jednej kałuży krwi. Król Francji Ludwik spełnia odstręczające posługi przy stoczonym trądem Mateuszu itd. Lecz wszyscy oni, Ludwik, później święty, Hugo z nagła w mnicha przemieniony dumny architektor cesarski, Mateusz nieprawdopodobnie wykolejony przez grzech z podstarzałą podwiką, niezdolną powściągnąć swych przyrodzonych upałów, Lianora-Dezyderia, Jagnieszka i Szymek, — kanonicy, rzemieślnicy, braciszkowie i mniszki, włóczędzy, opryszki, łotrzyki i majstrowie wyglądają jak ludzie podrzucani epileptycznym grymasem, opanowani gorączką, nienormalni, rozchwiani i nieobliczalni. Z tej rzeszy ogarniętej przeżywaniem dusznych nastrojów, zabłąkanej w świecie, naraz któryś zwali się, padnie na kolana pośrodku katedry. „Potem twarzą w pył...", lub — na włóczęgę z biczownikami.

Lecz jaka jest z owej odległej wycieczki droga powrotna we współczesność? Bo przecież z niej się bo wszystko wywodzi, nawet postać brata Hilarego i wszystkie postaci, którym Malewska dała życie. Z kamieni ma przemówić prawda, w ich głosie mamy usłyszeć człowieka, One, dzięki kunsztowi Adama z Chartres wbudowane w gmach wspaniałej katedry, wołać będą. A ludzie żywi — milczeć?!

Próba wartości poglądów po wielkim wstrząsie, którego naukę nosimy w sumieniu, odbywa się na żywo. Oczekujemy reakcji na to, co się rodzi i prowokuje stosunek, żąda oceny głosem nie znającym względów ani zwłoki. Chcemy odruchu na biedę człowieka wydobywającego się w niewymownym trudzie z wielkiego rozstroju. Także np. na sieroctwo Żydów, których niedobitki z pogromu są zwierzyną dla znieprawionych „patriotów". Gejzer chrześcijańskiego współczucia i miłosierdzia winienby wybuchnąć. Potrzebny nie tylko prześladowanym ofiarom, ale samym zelotom i naśladowcom Chrystusa. Mają oni w tej sprawie dużo do odrobienia i mają też, trzeba przyznać, sposobność wzmocnienia jednostkowych aktów miłości bliźniego, okazanych w chwilach groźnej próby.

Ecclesia militans pisze o reformie rolnej i realizmie, upaństwowieniu przemysłu i humanizmie, legistyce, materializmie dialektycznym i humanitaryzmie, pławi się w akademickich tonach i subtelnościach, lecz przemilcza problemy drażniące sumienie. Konieczny jest widać dystans wielu dni i nocy. Rzym dowiedział się post factum o gehennie Polaków pod okupacją, jego przedstawiciele w kraju — niemal wszyscy — nie słyszą głosów idących z polskich lasów. I najwrażliwsi pisarze-artyści, choć przejęci ideałami i ideami chrześcijańskimi, protagoniści neokatolicyzmu zawodzą jak dotąd w tej próbie.

Gdy projekcji w przeszłość nie towarzyszy caritas, czynna miłość bliźniego, gdy szlachetny jakoby kruszec nie wydaje czystego dźwięku pod uderzeniem chwili, — rachunek płaci biedny łowca prawdy, naiwny brat Hilary i siostra Dezyderia szukająca w klasztorze ukojenia. Wtedy podniosłe słowa odczytane przez kanonika Wilhelma de St. Amour: „Zaiste, jeśli chrześcijańskie mają serca, powinni wdzięcznie i gorliwie chodzić około zbawienia dusz swoich i pomnożenia chwały Bożej" — pozostają werbalnym zwrotem na starym, wyblakłym i zamazanym pergaminie.

Rozminęła się też Malewska z prawdziwym obliczem wieku. Nie dostrzegła jego nurtu społecznego, u samej podstawy gromad pątników, biczowników, kacerzy, i spóźnionych krzyżowców. Z tego źródła społecznych przetwieństw czerpał Franciszek z Assyżu, który w samej rzeczy minął granicę oficjalnej doktryny i tylko dzięki bardzo rozumnemu papieżowi, z potencjalnego twórcy herezji został filarem kościoła. Gdyby Malewska w tym żywiole, w konflikcie społecznym szukała tworzywa, treści i powiązania, ludzie i ich rzeczy znalazłyby się w naturalnych relacjach i z przypadkowego, luźnego konglomeratu zrosłaby się zgodna z prawdą, bijąca życiem całość.

Tak zaś pozostaje z powieści galeria dziwnych, choć czasem dobrze zarysowanych figur i kilka wątków, nie dość ze sobą splecionych. Brak nawet wyraźnie skupionej fabuły i ustawionego w centrum bohatera. Nade wszystko jednak brak „tego doskonałego braterstwa ludzi i aniołów, gdzie nikt nie będzie drugiego miłował mniej niż samego siebie". Wiara w zapowiedź króla Ludwika naprawy wszelkich krzywd i spłaty szkód i strat wyrządzonych przez urzędników królewskich „za naszego i przodków naszych panowania", uroczysty manifest sprawiedliwości absolutnej i bożego ładu na ziemi, jest aktem naiwności idealistki, która w odległej przeszłości szuka ziszczenia najwyższych cnót i mija się z krzywdą dnia współczesnego.

Piękny, bardzo staranny język bywa przestylizowany. Hrabia Beauvais przyjmuje w „siedzisku", król również, lecz w „poręczastym", podróżny nakłada „ochopnię", mnisi idą w „miot" wielki jak królestwo, majstra Adama „nędziło kaszlisko", ktoś tam „spotrafił". Są i potknięcia artystyczne. Hugo gardząc Dezyderią „pławł w tej chwili w jej oczy wierne, w jej usta wpółotwarte". Ludzie z dołów muszą mówić bardzo chropawym językiem: „Mało brakowało, a byłaby jajecznica w gaciach..."

Józef Sieradzki

Z teki dr Prota Sowizdrzała

Jak pisano o Mickiewiczu

1. KÖRPERBAU UND CHARAKTER

W szkicu Wł. Kozłowskiego „Kilka uwag o charakterze Adama Mickiewicza" czytamy następujące uwagi, wyjaśniające zagadkę życia i twórczości poety:

„Do osobliwości jego (Mickiewicza) twarzy należy dodać czoło niskie, jakkolwiek szerokie. Cecha ta nie jest bez pewnego znaczenia. Zauważono bowiem, że ludzie wielcy, mający czoło niskie, zdradzają zwykle pewne braki pod względem umysłowym, co się sprawdza do pewnego stopnia na Mickiewiczu, jak to zobaczymy w swoim miejscu".

Ano zobaczymy!

„Abstrakcyjne myślenie, opierające się na ścisłej analizie pojęć, posługujące się w swych wywodach rozumowaniem tak dedukcyjnym, jak i indukcyjnym było dla niego zgoła niedostępne. Wszelkie zagadnienia ze sfery transcendentalnej musiał on sprowadzić do rzeczywistych warunków, pojęcia oderwane przerobić na konkretne i dopiero na podstawie dopatrzonych analogii ze stosunkami życia starał się je rozwiązać, w rozwiązaniu tym kierując się głównie wymogami panującego w nim uczucia. W tej właściwości jego umysłu leży przyczyna, że przez całe swe życie dążył ku mistycyzmowi, aż w końcu pogrążył się w nim zupełnie. Mistycyzm bowiem nie jest czym innym, jak fantazjowaniem na temat kwestii metafizycznych. Ta właściwość jego umysłu stanowiła właśnie jego wadliwość, która zdaje się stwierdzać spostrzeżenie, że niskie czoło u wielkich ludzi oznacza zwykle jakąś nieudolność umysłową. Bądź co bądź błędnym byłoby wnosić, że Mickiewicz był tylko genialnym fantastą. Przeciwnie całe jego życie świadczy, że umiał swą fantazję utrzymać w karbach zdrowego rozsądku. Z drugiej strony, jakkolwiek nienawidził bezwzględnego krytycyzmu naukowego, odzierającego fakty dziejowe z ich legendowej szaty, nie gardził przecież samą nauką i cenił jej wyniki". („Kosmos", 1898, str. 234 i 236—7).

Bądź co bądź jakkolwiek z drugiej strony zdolność do myślenia konkretnego doprowadziła Mickiewicza do mistycyzmu, to jednak rozmiary jego czoła były utrzymane w karbach zdrowego rozsądku genialnego fantasty. Skądinąd zauważono zresztą, że lepiej jest jak wielki poeta ma czoło niskie jakkolwiek szerokie, niż jak piszący o nim uczony średniej miary ma czoło wysokie, jakkolwiek wąskie, co sprawdza się do pewnego stopnia na Kozłowskim.

2. SŁOŃ PRZEDPOTOPOWY A MICKIEWICZ

Nie tylko poeci lubią dygresje. Także uczeni. Naukowcy może nawet więcej, niż pisarze. W każdym razie dygresje uczonych są bardziej malownicze i bardziej dygresyjne, niż dywagacje poetów. Dr Benedykt Dybowski napisał pracę pt. „Próba określenia składników rasowo-plemiennych uwydatnionych w postaci wieszcza naszego Adama Mickiewicza rozpatrywanych na tle typów mieszkańców Europy i ziemi nowogrodzkiej". Tytuł rozprawy jest w tym samym stopniu wielomówny, w jakim sama rozprawa okazuje się niewiele mówiąca. Trzeba jednak sprawiedliwie przyznać, że tytuł ten jest o wiele krótszy i szczuplejszy od wstępu i tła geologiczno-antropologicznego wymienionej rozprawy.

Rzecz zaczyna się naukowo, to znaczy od Adama i Ewy, a nawet trochę wcześniej. Autor z rozmachem pliocenowo-dyluwialnym poruszył wszystkie czaszki i piszczele spoczywające w geologicznych katakumbach, z chyżością dzikiego konia kopalnego (Equus caballus fossilis), przebiegł rasy i podrasy Europy, Azji, Afryki (i ziemi nowogródzkiej) po to tylko, żeby zestawić parę literackich opisów i wzmianek pamiętnikarskich o powierzchowności Mickiewicza. Powstał w ten sposób paleontologiczny wariant przesławnej tezy „Słoń a Mickiewicz". Prawie dosłownie: słoń starożytny (Elephas antiquus) i słoń włochaty czyli mamut (Elephas primigenius) a Mickiewicz!

Nie obyło się rzecz prosta bez dygresji wychowawczo-obywatelskiej, która jak rzadki głaz narzutowy czyli erratyczny widnieje na jednej ze stronic. Epoka lodowcowa, jako ciężka, choć podobno zbawienna próba dla rozwoju ludzkości, skojarzyła się naszemu przyrodnikowi z nieszczęśliwą miłością Adama do Maryli! Pliocen i sielanka tuhanowicka — dyluwium i rozstanie kochanków! Eros jako Mysterium Cosmographicum. Dobroczynny wpływ zawodu miłosnego na twórczość Mickiewicza, podobnie jak próba epoki lodowcowej dla rodzaju ludzkiego, zdaje się nie ulegać dla autora wątpliwości.

Od Mickiewicza i Maryli dr Benedykt Dybowski nawraca na chwilę do prehistorii, a potem jednym olbrzymim susem aktualizacji, ze zręcznością pramamuta (Elephas trogontherii) i nosorożca włochatego (Rhinoceros antiquitatis s. tichorhinus), przeskakuje do współczesności:

„Wobec okoliczności niepomyślnych dla społeczeństwa ufać trzeba wyrocznej prawdzie przysłowia, które głosi, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Przekonanie, że się potrafi wyzyskać każde zło na swoją korzyść, stać się może orężem skutecznym w walce o byt. Wszak pamięć o tym, że przodkowie zdołali wyjść zwycięsko, toczący bój ciężki z potęgą żywiołową lodowców, powinno rozniecić w sercach potomków nadzieje, że i ich pokonać nie zdołają prądy lodowe egoizmów państwowych, byleby tylko dążności ku lepszej doli sprzedawać nie zechcieli za misę soczewicy kainowej". („Kosmos", 1898, str. 167).

Miska soczewicy występuje wprawdzie w historii Ezawa i Jakuba, a nie Kaina — ale co znaczy różnica paru pokoleń jakiegoś koczowniczego szczepu biblijnego wobec właściwej chronologii świata, liczącej czas według przewrotów kosmicznych?! Co znaczy taka miska soczewicy wobec pociechy, jaką czerpiemy z myśli o setkach tysięcy lat kataklizmów? Ile epok geologicznych, ile kontynentów zatopionych, ile mórz wyschłych, ile czynnych lub przytajonych wulkanów, ile złóż uranowych na ziemi — tyle mamy powodów do nadziei!

podał do druku **Sigma**

W teatrach krakowskich

„OJCIEC" W TEATRZE POWSZECHNYM

Teatr Powszechny: „Ojciec", dramat w 3 aktach Strindberga, reż. **Karola Adwentowicza**, dekoracja **W. Błażejewskiego.**

Wznowić jedną ze sztandarowych sztuk teatralnego naturalizmu, bez adaptacji, bez przyćmienia jego jaskrawości i przysztucowania grandilokwencji — oto zagadnienie repertuarowe; zastanówmy się, czy trafnie rozwiązane.

Fin de siècle: po Ibsenie mieszczańskim teatrem europejskim wstrząsają mocne ładunki emocjonalne — Strindberg, Hauptmann, Sudermann. Realistyczna w ich sztukach problematyka, ale romantyczni bohaterowie, naturalistyczna faktura, ale metafizyczne niepokoje między wierszami tekstu; znawstwo dusz — potraktowane półnaukowo, z pasją i diabolicznie. Nie zapominajmy, że to jest ten czas i środowisko, z którego na naszym terenie wyrósł Przybyszewski i przybyszewszczyzna, z kultem „nagiej duszy" i problematyką seksualną, wysuniętą na czoło przed wszystkie inne zagadnienia. „Ojciec" Strindberga jest ojcem tego kierunku i jego najpełniejszym wcieleniem. Niewątpliwie — są w tej sztuce i aspekty społeczne, związane genetycznie z czasem i środowiskiem, chociaż w swym założeniu miała być ponadczasowa i ogólno-ludzka, ale są to aspekty, które dopiero dzisiaj się zrodziły, kiedy „Ojca" badamy historycznie.

Bohaterem dramatu jest rotmistrz kawalerii i uczony zarazem (z tej rangi intelektualnej autor niechętnie by zrezygnował), zaplątany w konflikt z własną żoną — bardzo specyficznej natury: Chodzi o prymat w pożyciu małżeńskim, o prawo do stanowienia o wychowaniu córki, Berty, i jeszcze o coś więcej: między pierwiastkiem męskim a żeńskim toczy się głucha, od lat tłumiona walka płci. Do niedwuznacznego sprecyzowania dochodzi ambiwalencja popędu płciowego. Miłość jest tu zarazem nienawiścią, od strony mężczyzny traktowana z arystokratyczną wyższością, od strony kobiety — buntowniczo, tak jak u niewolnika, który budzi się do wolności i stanowienia o sobie i otoczeniu. W tym właśnie żona Laura, charakter wyjątkowo demoniczny i zły, reprezentuje mimo swej wyjątkowości epokę, secesję. Ta właśnie kobieta „fin de siècle'u", wyzwolona postępowym prawodawstwem spod władzy męża, nie znalazła sobie jeszcze drogi do pracy zawodowej i społecznej użyteczności, choćby jako bileterka „iluzjonu". Wszystkie zatem swe uroszczenia w walce o władzę obraca w demonizm wnoszony do domowego ogniska. Pobrzęki tej sprawy odzywają się przecież jeszcze na początku XIX stulecia w dulszczyźnie. Tylko u Strindberga mają one bardziej drapieżny i dramatyczny rysunek.

Laura systematycznie sabotuje męża w jego pracy naukowej, w perfidny sposób wsącza w niego wątpliwość co do ojcostwa ukochanej córki, osacza podejrzeniami o zmącenie władz umysłowych i osiąga to, co zamierzała: wyzwolenie się prawdziwego szaleństwa. Jest to szaleństwo dostojne i przytomne jednak do końca, chciałoby się rzec — szaleństwo potraktowane po literacku. Rotmistrz, spętany w kaftan bezpieczeństwa, pada, trochę symbolicznie, jak biblijny Samson z podciętymi włosami. Do spętanego Laura wyciąga rękę z ironiczną intencją: „podaj mi dłoń, przyjacielu". Pierwiastek żeński, ujęty w szczególnie namiętne antyfeministyczne apostrofy, zwycięża.

Czy „Ojciec" jest udałym dziełem scenicznym? Nasuwają się tu znaczne wątpliwości. Strona lekarsko-psychiatryczna a także literacko-psychologiczna jest, powiedzmy sobie, trochę „szkarpnięta". Otóż nie tak wygląda wyzwalanie się szaleństwa. Współczesna wiedza psychiatryczna poucza nas w tej materii, że choroba umysłowa wyzwala się tylko u osób z góry do szaleństwa predysponowanych. Nawet najbardziej przykre przeżycia nie potrafią osobnika z natury zdrowego pchnąć do czegoś więcej, niż do rozstroju nerwowego czy samobójstwa. Akty zaś gwałtowne, jak duszenie czy strzelanie do osoby ukochanej (do Berty), to już jest „repertuar" furiata schizofrenika. Rzecz oczywista — wiedza lekarska nie stała na tym poziomie co dzisiaj w czasach Strindberga, ale rzetelna obserwacja idzie przed teoretycznym sformułowaniem. Tymczasem śledząc cały przebieg akcji konstatujemy zgodnie z intencją autora, że logika słów i czynów rotmistrza jest najnormalniejsza w świecie. Katastrofa nastąpiła dopiero i wyłącznie na skutek przewrotnego działania Laury. Gdyby jeszcze problem był potraktowany obszerniej, na kilkuset stronach powieści (w rodzaju Dostojewskiego), wypadłby sugestywniej, w dramatycznym skrócie nabiera jednak cech nieprawdopodobieństwa i razi brutalnymi efektami. Zarówno mafia Laury z doktorem Oestermarkiem wydaje nam się prawniczo naciągana, jak i uległość rotmistrza we włażeniu w nastawione sieci — tylko na dobrą wiarę do przyjęcia. A od naturalisty Strindberga można by wymagać większej precyzji w tym właśnie realistycznym mechanizmie. Co najdziwniejsze — piękniej wychodzą wątki idealistyczne, np. stosunek do rotmistrza piastunki Małgorzaty, kochającej go do tego stopnia, że się nie waha ściągnąć na siebie przytomny jeszcze jego gniew, kiedy sama podstępem nakłada mu kaftan. Pragnie, by dobro i zło przyjmował z jej ręki. Jest to nie zamykający się i trudny do wytłumaczenia symbol, ale dający posmak wielkiej sztuki.

„Ojciec" jako pozycja repertuarowa, jeśli się ją potraktuje w oderwaniu, nie w sąsiedztwie jeszcze kilku innych dramatów z wielkiego mieszczańskiego repertuaru — to chyba tylko popis gry dla aktora. Naturalnie konfrontacja naturalistycznego teatru z dzisiejszymi upodobaniami i wiedzą o człowieku jest ciekawa, ale tylko dla nielicznego grona widzów. Seksualny demonizm Laury ma bowiem w ujęciu strindbergowskim swoją wymowę tylko na przestrzeni co najwyżej lat trzydziestu. To nie kompleks Edypa, Laurze bardziej do twarzy w domowym szlafroku, wyplamionym sosem z pieczeni, niż w klasycznej tunice.

Rotmistrz w ujęciu **Karola Adwentowicza** był postacią nerwową, wybuchową, żywo gestykulującą. Wątpię, czy te atrybuty zewnętrzne były potrzebne do wydobycia czającego się na scenie szaleństwa. Wyobrażam sobie rotmistrza jako bohatera bardziej olimpijskiego, „prometejskiego". Chciałoby się zauważyć, że ten rotmistrz wychodził naprzeciw swemu losowi bez godności. Być może i tradycja takiego pojmowania roli wywodzi się z teatru naturalistycznego. Adwentowicz zatem, mimo kilku mocniejszych efektów i trafnie ujętych fragmentów gry, nie dał w pełni sugestywnej kreacji.

Aldona Jasińska, jako Laura, posługiwała się zbyt jaskrawymi efektami. Jej jędzowatość była tak mało zawoalowana i aparycja tak nie pociągająca, że w tych warunkach trudno przyjąć, by rotmistrz mógł popaść w kompleks na punkcie jej zdrady małżeńskiej. Dopiero w scenie końcowej — tryumfu, kiedy nie potrzeba już było subtelnego cieniowania w perfidii, Laura zdołała przysłonić wyzierającą spoza niej Dulską.

Postać piastunki Małgorzaty ujęła **Helena Swigcicka** szlachetnie, z ujmującym liryzmem.

Reszta zespołu — **Alicja Kamińska** (Berta), **Eug. Stawowski** (dr Oestermark), **Jan Niwiński** (pastor), **J. Borkowski** (ordynans **Nájd**) — poprawna.

Krytyk zadał sobie trud przeanalizowania całego przedstawienia, ale czy warto było? Czy „Ojciec" nie jest przykładem jeszcze jednej pomyłki repertuarowej teatrów krakowskich, szukających bądź „kasy", bądź tanich laurów?

Marian Promiński

„KUKRYNIKSY"

Tak w literaturze światowej, jak również w różnych gałęziach nauki, mamy sporo przykładów stałej współpracy twórczej dwóch autorów. Mowa tu oczywiście nie o przygodnych wypadkach czasowo związujących dwóch lub kilku autorów dla zrealizowania wspólnie powziętej myśli, lecz o ciągłej i nieprzerwanej współpracy dwóch osób, których nazwiska ostatecznie połączone w jedno, przechodzą do historii, jak to np. stało się z nazwiskiem francuskich powieściopisarzy Emila Erckmanna i Aleksandra Chatrian, figurujących obecnie we wszystkich podręcznikach i encyklopediach już zawsze jako **Erkmann-Chatrian.**

Bardziej rzadkie są tego rodzaju wypadki w dziedzinie sztuk pięknych, choć i tu właśnie na terenie polskim można podać dwóch utalentowanych grafików, którzy od wielu już lat występują jako **Levitt-Him**, a ostatnio w Londynie cieszą się powodzeniem.

W przytoczonych przykładach — a nie trudno o kilka jeszcze innych tegoż autoramentu — mamy zawsze przed sobą spółkę tylko dwóch autorów. Przebiegając w myśli dzieje sztuk pięknych od czasów najdawniejszych, nie mogę sobie przypomnieć, by kiedykolwiek istniała tego rodzaju spółka twórcza złożona z trzech osób. Otóż w Związku Radzieckim działają tzw. „Kukryniksy", zajmujący jedno z czołowych stanowisk w rysunkowej satyrze polityczno-społecznej oraz w ilustracji książkowej.

Pseudonim „Kukryniksy" powstał drogą złożenia pierwszych liter nazwisk i jednego imienia trzech artystów rosyjskich, tworzących tę spółkę, a mianowicie **Michała Kuprijanowa, Porfirego Kryłowa i Mikołaja Sokołowa.** Wszyscy trzej mają obecnie po czterdzieści kilka lat, a oprócz wieku złączyły ich swego czasu wspólne studia w wyższej moskiewskiej uczelni artystycznej, która nosiła wtedy nazwę „Wchutein" a którą chlubnie ukończyli w r. 1927.

Nie umiem powiedzieć i psychologicznie wytłumaczyć, jakim sposobem i z jakich pobudek w tej trójce młodych kolegów powstała myśl wspólnej pracy na niwie malarsko-graficznej, chęć skrystalizowania w jedną organiczną całość pomysłów oraz wyzyskania umiejętności każdego z nich. Pewną rolę odegrały tu niezawodnie cele i względy praktyczne, pokrewieństwo talentów, doskonale się dopełniających, a poza tym owe tajemnicze nici wewnętrznej wspólnoty, bez których to związanie się artystów nie mogłoby przetrwać dwadzieścia prawie lat. Już wtedy, gdy byli studentami, zaczęły się pojawiać rysunki satyryczne ich pomysłu i w ich wykonaniu, i tak twórczość Kukryniksów coraz szersze zakreślała kręgi. Zaznaczyć też wypada, że poza utworami pochodzącymi ze współpracy, każdy z trzech artystów nie przestawał występować indywidualnie na wystawach radzieckich, przeważnie ze studiami z natury o charakterze pejzażowym i urbanistycznym. Z punktu widzenia czysto malarskiego góruje Kryłow, szczerym liryzmem pociągają utwory Sokołowa, temperamentem zaś — Kuprijanowa.

Kukryniksy zdobyli sobie popularność przede wszystkim jako karykaturzyści i począwszy od wydarzeń pierwszego dziesięciolecia władzy radzieckiej aż do wzięcia Berlina i obecnego procesu norymberskiego, dostarczali swoich rysunków gazetom i czasopismom moskiewskim. Byłoby przesadą twierdzić, iż w tej dziedzinie Kukryniksy potrafili, jak niektórzy wielcy karykaturzyści przeszłości, stworzyć nowy, zupełnie odrębny styl graficzny. Nie, tak nie jest, ale wszystkie ich rysunki cechuje zawsze wysoki poziom artystyczny, solidna technika i zacięcie satyryczne o zabarwieniu humorystycznym. Za przykładem Honorego Daumier — a któż ze współczesnych karykaturzystów nie ulegał wpływowi tego genialnego mistrza francuskiego! — Kukryniksy, celujący przede wszystkim w portretach skarykaturowanych, z powodzeniem wykonali kilka takich portretów w rzeźbie.

Realistyczni bez wszelkich stylizacyj, Kukryniksy ilustrują wydawnictwa książkowe. Ilustrowali powieść Gorkiego, utwory Czechowa i Gogola, gdzie mieli sposobność dać upust swym skłonnościom satyrycznym i kilka innych książek; ostatnio widzieliśmy serię rysunków do znakomitej noweli Czechowa „Dama z pieskiem", potraktowanych z elegancją i smakiem.

Ktoś kiedyś powiedział, że grafik nie dojdzie nigdy do doskonałości, jeśli równolegle nie uprawia i malarstwa. Kukryniksy indywidualnie zawsze je uprawiali, ale ostatnio występują ze wspólnie malowanymi obrazami olejnymi. Przed dwoma laty wystawili płótno, którego tematem były zbrodnie hitlerowskie; obecnie pracują nad obrazem, mającym uwiecznić moment kapitulacji zwyciężonych Niemiec przed reprezentantami czterech państw zjednoczonych.

Paweł Ettinger

„Kukryniksy": Porfiry Kryłow, Michał Kuprijanow i Mikołaj Sokołow

PRZEGLĄD PRASY

Piotr Grzegorczyk we wstępie do „Diariusza" (nr 2 „T w ó r c z o ś c i") wskazał główne cechy współczesnego życia kulturalnego w Polsce. Jedną z nich jest decentralizacja. Przydałaby się jakaś nowa geografia kultury, która uwzględniłaby specyficzność poszczególnych ośrodków i ich możliwości rozwojowe. Wydaje się to tym bardziej potrzebne, że powstają ośrodki nowe, nie posiadające w opinii publicznej ustalonej sławy. Ruch przesiedleńczy zmienił również strukturę społeczno-kulturalną regionów. Osiedlenie się np. zwartej grupy literatów i artystów lwowskich na Śląsku a wileńskich na Pomorzu nie pozostanie bez wpływu na charakter i kierunek rozwoju kultury tych ziem. Regionalne czasopisma są dzisiaj podstawą do oceny żywotności poszczególnych środowisk.

Oprócz Krakowa, Łodzi i Warszawy, które dzielą między siebie funkcję wzbudzania i kierowania naczelnymi sprawami kultury, żywe i samodzielne życie kulturalne rozwija się przede wszystkim w Poznaniu („Życie Literackie"), Katowicach („Odra"), Lublinie („Zdrój", „Światło"), Gdyni („Wiatr od Morza"). Na Pomorzu dopełniają się wzajemnie Toruń (przyszłość uniwersytecka, Teatr Ziemi Pomorskiej) i Bydgoszcz („Arkona"). Ruchliwość uwidocznia się również w Kielcach („Cychry").

„Życie Literackie" oraz „Odrę" omawialiśmy już niejednokrotnie na tym miejscu. Pisma te posiadają charakter szerszy i wykraczają swoimi zainteresowaniami poza sprawy terenu, który reprezentują, („Życie Literackie" zresztą określa bardziej ideologia artystyczna **Wojciecha Bąka** niż położenie geograficzne.)

Lubelski „Zdrój" niesłusznie pomawia nas o fobię regionalną. Omawiając „Arkonę", czy „Wiatr od morza" daliśmy dowód zrozumienia spraw, o które „Zdrój" pragnie się troszczyć. Omawiając „Kamenę" (która świadomie nie jest pismem regionalnym, chociaż w Chełmie wydawanym), czyniliśmy to bez wmawianego nam poczucia wyższości. Bolejąc nad „Zdrojem" daliśmy również dowód pojmowania wagi Lublina, przez który jak wszystko w Polsce i my przeszliśmy. I nie jest przypadkiem, że w mieście, gdzie demokracja polska stawiała pierwsze kroki, gdzie padały pierwsze słowa o upowszechnieniu kultury, o roli oświaty dla dorosłych i świetlic, wychodzi najlepsze ze wszystkich w Polsce pism świetlicowych. „Światło", „dwutygodnik społeczno-oświatowy" jest wreszcie pismem tego typu, które można czytać. Zawiera rzeczowe, popularnie napisane artykuły (np. **Tadeusza Tomaszewskiego** „Co to jest psychologia?"), dokładnie informuje (np. „Prasa w Polsce odrodzonej") i umiejętnie szerzy zrozumienie dla społecznej roli świetlic.

Czasopisma regionalnego (w pełnym i dobrym tego słowa znaczeniu) nie rozpoznaje się po odczytaniu miejscowości, w której jest ono wydawane. Musi ono odzwierciadlać życie regionu, omawiać sprawy ważne dlań, a tym samym i ważne ogólnie. Bydgoska „A r k o n a" jest takim właśnie pismem. Szczegółowa kronika lokalna (literatura, plastyka, teatr, muzyka, szkoła, radio itd.) przedstawia rozmaitość tamtejszego życia kulturalnego. Nr 5 „Arkony" w związku z obchodzonym jubileuszem Adama Grzymały-Siedleckiego jest w części poświęcony temu pisarzowi, który od 20 lat przebywa w Bydgoszczy. **Ludwik Hieronim Morstin** pisze o ziemi rodzinnej (proszowskie) Siedleckiego a jubilat publikuje fragmenty z pamiętnika (okres przebywania na Pawiaku). Wobec braku pisma literackiego w Toruniu „Arkona" obsługuje i to miasto również. W związku z prapremierą „Promienistych" **Krystyny Grzybowskiej** w Teatrze Ziemi Pomorskiej pismo drukuje fragment tej sztuki. O uniwersytetach ludowych, a w szczególności o konieczności pracy oświatowej na Pomorzu pisze **Stanisław Ziemak.**

Miesięcznik bydgoski do niedawna obsługiwał całe Pomorze. Obecnie po ukazaniu się „Wiatru od Morza" sprawy morskie, oraz sprawy kultury na wybrzeżu przestaną absorbować uwagę „Arkony". Pozwoli to jej na rozszerzenie działu zagadnień społecznych, które dotychczas nie zajmowały należnego im miejsca.

Cechą „Arkony" jak i „W i a t r u o d M o r z a" jest przeciążenie materiałem historycznym. Jest to zresztą nieuniknione na terenie, gdzie okupant usuwał znaki polskości. Przed przystąpieniem do normalnej pracy w kulturze należy przecież uświadomić ogół o wymazywanej przez sześć lat okupacji historii Polski na tych ziemiach. „Wiatr od Morza" ma szeroki program oddziaływania. Nie izolując spraw kultury, omawiając je łącznie z innymi przejawami życia (społecznego, politycznego, gospodarczego) jest ogólnym organem polskiego wybrzeża. Szerząc kult morza, nie popada w przesadę (byle o morzu!), co szczególnie dodatnio zaznacza się w postulatach literackich. Bo przecież nie o to tylko chodzi, by wnieść temat morza do literatury, lecz o to przede wszystkim, by kulturę polską na wybrzeżu rozprzestrzenić. „Wiatr od Morza" dobrze służy temu celowi. W numerze drugim miesięcznika m. in. publikują swoje prace: **Marian Brandys** (wspomnienie w rocznicę walk Pierwszej Armii Wojska Polskiego pod Kołobrzegiem), **Marian des Loges** („Program morski w literaturze"), **Bolesław Kuźmiński** („Port gdyński pracuje"), **Stanisław Strumph-Wojtkiewicz** („Tu mówi Piorun" — wspomnienie z życia załogi polskiego okrętu wojennego).

„Wiatr od Morza" winien trafić do wielu rąk. W ogóle prasa regionalna w rodzaju „Arkony" czy miesięcznika gdyńskiego zasługuje na to, by znaleźć czytelników poza swoim bezpośrednim terenem oddziaływania. Gdyż sprawy, które porusza, nie mają tylko lokalnego znaczenia.

Zagadnień kulturalnych nie da się odizolować. Przemiany dokonujące się w kraju i w świecie obejmują wszystkie dziedziny życia. Nieorientowanie się w sprawach politycznych, ustrojowych, gospodarczych winno być tak samo ośmieszane jak np. brak gustu u kobiet, albo jeszcze bardziej: jak zły smak literacki. Wszyscy, którzy pragną uniknąć drwin z siebie i wyrównać jako tako swoje braki, winni zwrócić uwagę na mało, a na pewno za mało znany miesięcznik „P r z e g l ą d S o c j a l i s t y c z n y". Doskonałe pismo!

Ukazał się właśnie numer podwójny (za luty—marzec) „Przeglądu Socjalistycznego", który na 64 stronach dużego formatu przynosi materiał ideologiczny, informacyjny i dyskusyjny.

Stanisław Szwalbe omawia szczegółowo ostatnią sesję KRN (m. in.: unarodowienie przemysłu, przystąpienie do układów w Bretton Woods, odbudowa, ziemie zachodnie). **Władysław Żelazko** zamieszcza poważny, zastanawiający referat „Problem młodzieży w Polsce". Opierając się na danych zebranych w Łodzi W. Żelazko przedstawia trudny problem młodzieży proletariackiej, która odmiennie niż młodzież chłopska (po wsiach i miastach powiatowych) nie stanowi przeważającego elementu w nowym, demokratycznym gimnazjum. (Dane z jednej szkoły: dzieci robotników stanowią zaledwie 11,4 procent ogółu uczniów!) Interesujące artykuły zamieszczają **Henryk Jabłoński** (o opinii publicznej „statycznej" i „dynamicznej" oraz o jej formowaniu), **Wacław Zawadzki** („Clausewitz à rebours, czyli o strategii Hitlera") i in.

W „Przeglądzie Socjalistycznym" bardzo szczęśliwie rozbudowany jest dział rzeczowych (politycznych, gospodarczych, a nawet kulturalnych — o filmie) informacji z zagranicy. ZSSR, Anglia, Ameryka, Francja, Rumunia, Holandia, Italia, Hiszpania (o aktualnej prasie podziemnej), Bułgaria, Austria, a nawet Filipiny!

Sprawy krajowe omówiono wnikliwie. Poruszona kiedyś przez **Jerzego Zagórskiego** sprawa dziecka, które nie otrzymuje nieomal żadnych przydziałów żywnościowych, poparta jest wymową cyfr. „Przegląd Socjalistyczny" pisze: „Dyspropocje kaloryczne: 5,4 (dzieci!) — 523—1542—2107—2691—3679 (dyplomacja) — 6382 (członkowie rządu) — są stanowczo nieuzasadnione gospodarczo i ze względów społecznych powinny zostać zlikwidowane."

zb

Życie muzyczne w Krakowie

Uzupełniając sprawozdanie z poprzedniego tygodnia, w którym dla braku miejsca zmuszona byłam odłożyć na dziś omówienie niektórych imprez, wypadnie zająć się na pierwszym miejscu występem **St. Szpinalskiego.** Znaczenie i wysoka klasa Szpinalskiego jako pianisty znane są ogólnie. Kontakt z instrumentem jest u niego czymś absolutnie wrodzonym, stąd tak znakomite opanowanie tego wszystkiego, co można określić jako rzemiosło pianistyczne, wycieniowanie jakości brzmienia na fortepianie, dynamiki, a przede wszystkim przełamanie i opanowanie tych wszystkich przeszkód, które stawia artyście instrument jako materiał. To opanowanie jest u Szpinalskiego zupełne i doskonałe; nigdy nie odbiera się wrażenia, jakoby istniały dla niego w ogóle jakieś trudności do „pokonania", z taką łatwością pranuje artysta nad instrumentem. Rzecz jasna, że kryje to w sobie równocześnie i pewne niebezpieczeństwa: instrument może tak bowiem urzec wykonawcę, iż wykonanie utworu fortepianowego nie wyjdzie poza wirtuozerię. Niebezpieczeństwu temu nie uszedł też Szpinalski, jak wykazała pierwsza i ostatnia część Sonaty h-moll Chopina, zagrana z dziwną obojętnością na akcent jej treści wewnętrznej, a nawet w pewnym stopniu i drobne kompozycje Debussy'ego, w których szkicowość i subtelna gra kolorystyki fortepianowej nie wytrzymały tego rozpędu technicznego.

Zupełnie odrębny typ pianisty przedstawia **Jerzy Zurawlew,** który wystąpił z recitalem chopinowskim. Pianistyczne walory są zresztą i tu pierwszorzędne, i tu mamy do czynienia ze znakomitym opanowaniem instrumentu, z techniką absolutnie pewną, niezawodną, wycyzelowaną we wszystkich odcieniach, zwłaszcza, jeżeli idzie o samo brzmienie, nawet wysoce subtelną. Ale i tu kryje się niebezpieczeństwo podobnie jak w wypadku Szpinalskiego: Żurawlew potrafi wprawdzie zawsze opanować skłonności wirtuozerskie, ale dlatego, by pianistykę swą nagiąć do pewnych własnych, bardzo indywidualnych, często — powiedzmy to od razu — zbyt subiektywnych koncepcji utworu muzycznego, a nie dlatego, by wydobyć ten jego kształt najwierniejszy, najbliższy koncepcji twórcy. Indywidualna nuta u wykonawcy jest momentem bardzo cennym, ale też i ryzykownym. Żurawlew przekracza tę granicę, gdy np. melodię Chopina przekształca, a nawet zniekształca w jej podstawowych cechach, zmieniając w czołowym motywie Scherza b-moll triolę w ornament czysto zewnętrzny, gdy równe rytmy ćwierciowe czy ósemkowe zamienia na rytmy punktowane (Etiuda As-dur, Scherzo h-moll część środkowa). A że konstrukcja u Chopina związana jest nierozerwalnie z samą treścią uczuciową jego muzyki, pociąga te za sobą konsekwencje sięgające bardzo daleko w głąb; zmienia się przez to sama uczuciowa nuta utworu muzycznego, a sztuczne dramatyzowanie ustępów lirycznych działa jak grymas, nadaje im pozory pewnej histeryczności, jakże odległe od czystej koncepcji chopinowskiej. W programie — pięknie i jednolicie zresztą ułożonym — jest jeden przykry zgrzyt: kadencja do Koncertu f-moll w opracowaniu Burmeistra. Przecież kadencja jest w zasadzie organiczną częścią koncertu; jeśli jest obcą wkładką, ma o tyle tylko swe uzasadnienie, o ile zbliża się do stylu danego koncertu, w przeciwnym bowiem razie włączenie jej do koncertu jest dowodem złego smaku artysty. Zagranie samej kadencji, bez koncertu, jest już czymś zgoła niezrozumiałym i trudno odgadnąć, jakie były zamierzenia artysty.

Piątkowy koncert w Filharmonii w dniu 29. 3. nazwany został w programach koncertem **„muzyki polskiej".** Czy słusznie? Wydaje mi się, że nie (mimo, iż istotnie wszystkie grane tam utwory były dziełem kompozytorów polskich). Tytuł taki bowiem zobowiązuje w pewnym sensie, wzbudza u słuchacza nadzieję, że spotka się z nazwiskami i utworami reprezentatywnymi dla muzyki polskiej. Jest przy tym rzeczą obojętną, na jakich zasadach dokona się wyboru tych utworów, czy na zasadzie ich wartości już ustalonej, historycznej, czy z perspektywy dążeń współczesnych, awangardowych czy nawet eksperymentatorskich. Każdy z tych aspektów ma swoją rację bytu, pod warunkiem, że wybór pada na kompozycje o pewnym artystycznym i ideowym poziomie. W wypadku, o którym mowa, poziom ten nie został utrzymany. Reprezentował go właściwie jeden tylko **Karłowicz** i to utworem wczesnego okresu (koncertem skrzypcowym). Symfonia **Dankowskiego** jest niewątpliwie ciekawostką historyczną jako jeden z nielicznych utworów, reprezentujących naszą twórczość muzyczną w okresie klasyków wiedeńskich. Nie znając dokładnie daty jej powstania trudno powiedzieć o ile była ona na swoje czasy współczesna, a o ile pozostawała w stosunku do nich spóźniona. Faktem jest, że przy silnych wpływach Mozarta nie wykazuje specjalnie interesującej inwencji ani bogactwa motywów. „Prawykonanie" zaś utworu w typie wstępu do opery „Daniel" **A. Marczewskiego** na koncercie piątkowym należy uważać za zasadnicze nieporozumienie. Jest to próba zupełnie niedojrzała, tak pod względem braku inwencji (zastępują ją ustawiczne reminiscencje z wczesnego Wagnera czasem z Czajkowskiego), jak i konstrukcji absolutnie nieskoordynowanej, braku prymitywnych zasad logiki muzycznej i fatalnej instrumentacji. Przykładem dobrej znajomości techniki instrumentacyjnej był IV. Mazurek Symfoniczny **F. Wróbla.** Solista koncertu **W. Niemczyk** potwierdził raz jeszcze opinię, którą cieszy się ogólnie: znakomitego skrzypka o bardzo pięknym tonie, nadającym się specjalnie do wykonania utworów w stylu romantycznym czy romantyzującym, i o świetnej technice. Bardzo pięknie brzmiała kantylena części środkowej, część pierwsza wzięta była nieco za szybko, wskutek tego pewne jej frazy bardzo charakterystyczne nie wyszły z należytą wyrazistością. Koncertem dyrygował **A. Panufnik**, zręcznie na ogół pokonując trudności spowodowane podobno otrzymaniem partytury Karłowicza w ostatniej chwili. Nie była natomiast w „stylu" symfonia Dankowskiego: za ciężka, za masywna w brzmieniu nie była potraktowana odpowiednio do swej treści muzycznej, lekkiej i nie pozbawionej przez to pewnego swoistego wdzięku.

Na zakończenie wypadnie mi uzupełnić dwa przykre przeoczenia ostatniej recenzji: przy omówieniu Wieczoru Sonat Dubiskiej i Umińskiej pominięte zostało przez omyłkę nazwisko **Marii Wilkomirskiej,** znanej pianistki, która wzięła udział w wykonaniu Sonaty Romana Palestra i wywiązała się ze swego zadania ze świetnym wyczuciem wszystkich walorów gry kameralnej, zaś przy omówieniu recitalu Wielhorskiego i Kelles-Krauzowej nazwisko **Adama Kopycińskiego,** muzykalnego i inteligentnego akompaniatora.

Stefania Łobaczewska

Redaktor naczelny: KAROL KURYLUK.— Adres redakcji: Basztowa 15, m. 8, tel. 593-28 i 507-12.—Redaktor przyjmuje od godziny 11 do 12. — Adres administracji: Wielopole 1, telefon 545-60-62.
Prenumerata kwartalna 87 zł.
M — 06298
Drukarnia Narodowa w Krakowie. — Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik".